



ROK LVIII

NR 42

TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 17 PAŹDZIERNIKA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Czyja większa wina? — *H. C.* Cenna inicjatywa — *C. W.* Tym razem o sporcie — *Marja Kunciewiczowa*. Świat kobiecy (c. d.) — *Marja Grossek-Korycka*. Katka z dziejów katolicyzmu w Rosji w pierwszej połowie XIX wieku (c. d.) — *R. M. Blüth*. Z powodu dolarów (c. d.) — *Joseph Conrad* (*Józef Korzeniowski*) tłumaczyła *Teresa Tatarkiewiczowa*. Zastryżany zegar (powieść) c. d. — *Wanda Miłaszewska*. Piękna Pamela (c. d.) — *Karolina Bielańska*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Walka z groźnym widmem gruźlicy — *H. H.* Kartki z życia — *al.* Z teatrów — *P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Kilka pomysłów na abażury. Kaprysy i nakazy — *W. D.* Wyścigi jesienne — *W. L.* Moda a polityka w opece Empire'u — *Spero*. Z dziedziny kosmetyki — *Dr. J. Świtalska*. Różne sposoby prania — *J. S.* Rachunkowość w gospodarstwie — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre Rady. Korespondencje. Nadesłane do Redakcji. Dodatek powieściowy „Naja Tripudians” — (c. d.) *Annie Vivanti* (przeł. z włoskiego *Tadeusz Jakubowicz*). ARKUSZ WZORÓW.

CZYJA WIĘKSZA WINA?

Do najbrzydszych stron życia polskiego w niewoli należała „łapówka”.

„Łapówka” w zaborze rosyjskim to była, rzecz można, instytucja.

Łapówką zapewniało się byt tajnych organizacji, szkół, ochron, czyteln. Łapówką wyjednywało się możliwość odprawiania nabożeństw w domowych kaplicach, pozwolenie na naprawę obalonego krzyża, stopień na cenzurze szkolnej i t. d. i t. d. Łapówką ocalało się życie politycznego przestępcy, zdobywało dlań prawo pobytu we własnym kraju i t. d.

Ale przy pomocy łapówki, danej w Petersburgu „najwyższym” sferom, nie wyłączając osób, należących do dworu, nawet do rodziny carskiej, robiło się także te „kokosowe” interesy, po których pozostała już tylko smętna tradycja; przy pomocy łapówki również największy zbrodniarz grasować mógł bezkarnie. Typy „Togiejewów” urzędników państwowych, zostających w spółce z bandytami, wyrastały swobodnie na tem tle.

Łapówki dawał zarówno człowiek uczciwy, by ochronić się przed najbardziej krzyczącym nadużyciem i prześladowaniem władz, jak i istotny przestępca, celem zdobycia bezkarności.

Wynikało z tego bajeczne pomieszanie pojęć o dobrem i złem. „Pocziwym Moskałem” nazywało się w Polsce łapownika, który miał zwyczaj dotrzymywać obietnic i nie przeciągał zbytnio struny.

System ten, amoralny w najgłębszej swej treści, pogrążający w brud, zarówno dawcę łapówki, jak łapownika, zdawał się stanowić od wieków integralną część rosyjskiego despotyzmu, choć jednocześnie podgryzał i niszczył jego podstawy. Wreszcie runęło wszystko. Niema „pocziwych”, ani „niepocziwych” Moskali, ale nałogi pozostały... Pozostało pomieszanie pojęć o dobrem i złem.

Jest naprawdę rzeczą zdumiewającą... nie to, że trafiają się u nas urzędnicy przekupni... trafia się to w każdym kraju i w każdym nawet względnie zdrowym społeczeństwie, ale zdumiewającym jest po prostu, że w Polsce człowiek porządny, uczciwy, nawet patriota, patriota naprawdę, to jest człowiek zdecydowany na ofiarę z własnego życia dla ojczyzny, człowiek takinie waha się, nie wstydzi przekupić dziś polskiego urzędnika..

Czynią to ludzie najsutelniejszej kultury, najbardziej wyrafinowanego poczucia honoru...

Wiedzą coś o tem urzędnicy nasi, zwłaszcza z urzędów ziemskich, urzędów odbudowy i t. p.

Gdy nie można sprawy takiej załatwić w biurze, nachodzi się ich w prywatnem mieszkaniu, szuka się dróg do ich żon, matek, siostr, przesyła się podarki, zostawia pieniądze i odchodzi... i t. d. i t. d.

A jeżeli w nędzną pensyjkę uposażony urzędnik ulegnie w końcu pokusie, to zaprawdę, któż tu winniejszy?... kto właściwie na najsurowszą karę zasłużył?!

A i to dodać trzeba, że niedostępny pokusie urzędnik bywa znienawidzonym powszechnie i kopie się pod nim dołki, intryguje, używa stosunków, w celu usunięcia go z zajmowanej posady, lub przeniesienia w inną okolicę.

Rzeczy wprost straszne, które usprawiedliwić, albo wytłumaczyć można jedynie tem osiągnięciem społeczeństwa naszego truciznami niewoli, tem przystosowaniem się do dawnych norm i nieuleczalnem znałogowaniem duszy, która nie rozróżnia już: złe czy dobre? państwo własne czy cudze? urzędnik moskiewski czy polski? wczora, czy dziś?...

A to jest dziś, dziś winne i nowe, nasze własne.

Sprawa ma dwie strony: moralną i państwową:

Jak może człowiek kulturalny nie rozumieć, że skłanianie urzędnika do przełamania ustawy, choćby do zbagatelizowania przepisu, do uczynienia na korzyść dającego coś więcej niż się czyni dla niedających, jest szkaradzieństwem, przeciwnem sumieniu, honorowi, etyce, że to jest średniowieczna tatarszczyzna, niegodna człowieka XX-go stulecia, że to jest brud, który przywiera do rąk dających i biorących, że to jest wygrywanie pieniędzy przeciw obowiązкови, sił materialnych przeciw prawdzie ducha?...

Zasadniczo było to niemoralne i dawniej; było właściwie jedną z tych okropności, naniesionych przez wroga i narzuconych naszym duszom, okropności, przeciw którym buntowało się wszystko, co było czyste i chciało czystem pozostać.

A dziś?

Dziś musimy uświadomić sobie, że nie ma prawa do nazwy uczciwego człowieka i dobrego obywatela Państwa, kto choć raz w życiu usiłował zdemoralizować urzędnika, albo dla wygody własnej, dla szybszego załatwienia interesu, uległ nagabywaniom zdemoralizowanego.

Rozróżniamy przecież!

Nie można się dziwić, gdy usiłuje przekupić urzędnika przestępcą przeciw prawom, ustawom naszego kraju: złodziej, lichwiarz, szachraj, fałszerz pieniędzy, czy handlarz żywym towarem — ale gdy czyni to człowiek, uważający sam siebie za moralnego, za żyjącego w zgodzie z głosem sumienia, zaprawdę oczom się własnym nie wierzy.

A względy państwowe?

Byli u nas ludzie, którzy w nienawiści do państwa rosyjskiego, uważali za słusne rozstrajać je, między innymi także, przez popieranie łapownictwa, przez korzystanie z wszelkich kombinacji, idących na niekorzyść skarbu państwa, rządu, armji i t. d.

Przed samą wojną słyszałam n.p. o aferze, która polegała na zakupie przez pewne konsorcjum starego żelastwa w całej Rosji. Na szmelc ten składały się nowiuteńkie, świeżo poukładane szyny kolejowe, biegnące tysiącami wiorst przez niezmierzzone obszary imperjum...

Oczywiście tylko dzięki miljonowej łapówce można było załatwić taki „interes“. Ile stracił na nim skarb Państwa... któż to obliczy?!

Mówiąc o tem, jeden z wrogów Rosji cieszył się szczerze.

No tak, ale to był wróg Rosji. To jest logiczne.

Czyż logicznem jest, by ludzie, którzy za niepodległość Polski krew swą dawali, rozstrajali teraz machinę państwową nikczemnem łapownictwem?

A niczem przecież gorzej rozstroić jej niepodobna.

Na nic są najdoskonalsze, najbardziej postępowe, najlepiej obmyślane ustawy, na nic mozolna praca prawodawców i wysiłki Rządu, jeżeli przy zetknięciu z życiem, organy władzy wykonawczej rozdepcą to wszystko w błocie przekupstwa.

Istotnie takich „rozdeptanych“ ustaw mamy już sporo.

Należy do nich ustawa o walce z alkoholizmem, o walce z nierządem i t. d.

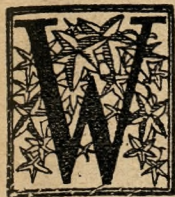
Polska ma ustrój demokratyczny. Ustroje takie odczuwają daleko dotkliwiej złe skutki deprawacji urzędników, niż stare monarchje w rodzaju państwa białych carów. A jednak byliśmy świadkami, jak mściły się na niej w czasie wojny stare jej grzechy: kolosalne kradzieże intendentów, przekupstwa i zdrady generałów, deprawacja od góry do dołu, od najwyższych, do najniższych szczebli...

Aż jednego dnia runął spróchniały ogrom...

Nie podgryzajmyż sami podstaw państwowego bytu Polski!

H. C.

CENNA INICJATYWA



Wolbromiu, powiecie Olkuskim, powstała rok temu szkoła tkactwa, kilimczarstwa, szycia, haftu i introligatorstwa. Założyła ją znana działaczka

społeczna i długoletnia biuralistka, pani Zofja Wysznińska.

Spotykałyśmy się od niepamiętnych czasów na przeróżnych posiedzeniach. Przed wojną, naturalnie tajno-oświatowych i feministycznych przeważnie. Czasu wojny—tam wszędzie, gdzie zachodziła najpilniejsza potrzeba pracy w danej chwili.

Czynny członek zarządu Ochotniczej Legii Kobiet, zajmowała się pani W. gorliwie zbieraniem odzieży i środków odżywczych dla legjonistów, zawożąc je wraz z innymi członkami żołnierkom naszym na miejsca postoju. Pracowała później w strzeleckim Komitecie Górnośląskim podczas powstania. Nigdy nie lubiła figurować w zarządach dla honoru czy zaszczytów, związanych z tem stanowiskiem. Brała na swoje barki zawsze jakąś pracę realną, konkretną, a nie rozgłosną. Cicha, zabiegliwa, budziła podziw, skąd—po ośmiu godzinach twardej, biurowej pracy i pewnych obowiązków rodzinnych—starczyło jej sił na tę nadetatową robotę, którą spełniała sumiennie, gorliwie, nie chybiając nigdy zobowiązań ani terminów.

Nie wiedziało się wówczas, że jeszcze każdą chwilę wolną poza tem, chwilę, którą uważała już za swoją własność bezpodzielną, poświęcała ulubionym ręcznym zajęciom. Haft, szycie... Odpoczywała przytem po zmudzie biurowej księgowości i roiła marzenia, że kiedyś może, rozwinąwszy szerzej swoje talenty rękodzielnicze, zdoła spżytkować je dla społeczeństwa.

Aż wybiła godzina...

Ustały najpilniejsze, niezwłoczne, doraźne prace dla wojska. Rozwiązał się legjon kobiety. Wywalczony Górny Śląsk przywrócił do Polski. Najjaśniejsza Rzeczpospolita zażądała od obywateli swoich innego trudu—pomocy w dźwiganii kultury narodowej. Sama nie jest w stanie ować nadąć całokształtem potrzeb i podować wszystkiemu.

Nie widziałyśmy się parę lat. Sądziłam nieraz, że pani Wysznińska odpoczywa po trudach lat

dwudziestych i dwudziestych pierwszych. Że uważając ogólnie społeczne swe zadania za spełnione—chce żyć teraz poza biurem tylko dla siebie.

Kruchy bankowe i redukcja urzędników?

Ani chwili nie przypuszczałam, aby to ją mogło dotknąć. Dwadzieścia pięć lat pracowała w najsołidniejszej instytucji, ceniona przez koleżanki, kolegów i władzę zwierzchniczą... Każdy inny mógł być usunięty, tylko nie ona...

Parę tygodni temu spotkałyśmy się wreszcie. Pani W. mówi mi, że jest w Warszawie przejazdem.

— Jaki przejazd? A bank?... Czyżby przeniesiono panią do jakiej filii?

Uśmiechnęła się tym swoim spokojnym uśmiechem.

— To pani nie wie? Ja już przecież rok cały nie siedzę nad biurkiem. Zredukowałam się sama, nie czekając aż mnie zredukują. Zresztą, pomyślałam sobie—trzeba ustąpić miejsca komuś, co nic nie umie, jak tylko prowadzić książki handlowe. Ja... pani wie... miałam zawsze takie zamiłowanie do robót ręcznych...

Nic o tem nie wiedziałam. Wyłuszczyła mi to pani Zofja na stojąco, w paru słowach—bo spieszyłyśmy się obie.

Tak. Miała zamiłowanie do robót oddawna. Szyła, haftowała. A po wywalczeniu Polski—gdy już nastał względny spokój—zabrała się do kilimczarstwa i do tkactwa. Owładnąwszy temi robotami w całej pełni, postanowiła otworzyć szkołę.

Prowadzi ją od roku w małej, żydowskiej mieścinie, ślicznie położonej nad rzeką Wolbromką czy

Pokrzywianką—jak kto chce. Kiełkie znane jest przecież z pięknych widoków.

Wolbrom, rzucony na najwynioślejszą część płaskowzgórza olkuskiego—ma długie dzieje za sobą. Historia jego sięga czasów Łokietka, Jagielly, Kazimierza Jagiellończyka, a w początkach wielkiej wojny ostatniej przeszedł tedy Legjon Piłsudskiego...

Nasza dzielna społeczniczka, mając posadę, mając mieszkanie w Warszawie, nie zawahała się ani chwili przed twardem, mocnem postanowieniem dania Polsce jeszcze czegoś z siebie.

W ładnym, elektrycznością oświetlonym domku (niestety, nie własnym) otworzyła szkołę dla dziewcząt wiejskich. Przyjeżdżają wprawdzie i panny z dworów, lecz niewiele.

Dziewczęta wiejskie uczą się na „odrobek” (nie płacą, bo to znaczyłoby zamknięcie wrót uczelni przed niemi). Kurs tkactwa, kilimczarstwa, haftu, szycia, introligatorstwa, nie ujęty w ramy czasu, trwa, dopóki uczennica nie wyćwoczy się biegle w rzemiośle, a wyćwiczwszy się, nie odrobi kosztów nauki.

P. Wysznińska posiada już cztery warsztaty kilimczarskie i trzy warsztaty tkackie, na których wyrabia się pasiaki, szale, zapaski, lambrekiny, materiały (niezdarte) na suknie, kostiumy.

Wzorów dostarczają artyści. Prace szkoły wystawiane są w Centrali Artystycznej w Warszawie. Widziałam je. Są śliczne, pełne smaku i artystycznego ujęcia, przytem wykończone bardzo subtelnie.

Jeżeli zastanowimy się, jak doniosłe zadanie spełniają takie placówki na prowincji, to zrozumiemy intencje czynu p. Wysznińskiej.

Dać rozwałęsanym gromadom dziewcząt wiejskich i małomiasteczkowych zawód w rękę, odciągnąć je od środowisk wielkomiejskich, gdzie przeważnie na zgubę swoją szukają służby lub zaciągają się do fabryk, rzucać w nie ziarna kultury przez samo obcowanie z niemi, kształcić charakter ich przez przyuczanie do punktualności—to już wielka, niespożyta zasługa społeczna.

Cześć należy się jednostkom, które w ten sposób—samorzutnie, bez oglądania się na czyjaśkolwiek pomoc służą państwu i społeczeństwu.

C. W.



TYM RAZEM O SPORCIE



ie bacząc, że w dyskusji „o Kobięcości” głos już zabierałam, raz jeszcze dorzucę moje słowa do pasjonujących rozważań. Muszę to zrobić, bo w N-rze

37-y pani I. F. pomawia niżej podpisaną ni mniej ni więcej, tylko o szykanowanie sportu. Zarzut mnie dotknął, bo nie tylko — jak mówi p. I. F. — nie twierdzę, że „kobieta ma się trzymać zdala od sportu”, ale sama trzymałam się od niego zawsze tak blisko, że mam na głowie bliznę zdobytą na ślizgawce, nogę wywichniętą na nartach i pełno w pamięci najśliczniejszych wrażeń, które zrywałam razem z goryczkami w dolinie Ciemnosmreczyńskiej i na słoweńskim Triglawie.

Nieporozumienie między panią I. F. a mną (bardzo zresztą znikome, bo w gruncie rzeczy myślimy tak samo) polega chyba na mylnem odczuciu tego, co było tonem mego artykułu: pani I. F. wydało się, że ton brzmiał ironicznie, podczas kiedy — ja pisząc — odnosiłam się do przedmiotu pozytywnie. Punkt wyjścia moich wywodów stanowiło przekonanie: Dziś, jak wieki temu, kobieta życie swoje reguluje intuicją a z postaci jej płynie ten wdzięk, jakiego wymaga głód epoki, przede wszystkim zaś głód aktora epoki, mężczyzny. Chciałam położyć nacisk na nierozdzielności poczynañ i gustów pary apokaliptycznej, której na imię Adam i Ewa. Dla zilustro-

wania tezy wzięłam, między innymi, przykład już raz wyzyskany, do innego celu, przez p. Konopackiego, mianowicie sportowo - egzotyczną modę. (Zaznaczam mimochodem, że te dwa pojęcia: sport i egzotyzm bynajmniej się nie uzupełniają, są zestawieniem okolicznościowym).

Otóż, broń Boże, nie potępiam sportu (nie lubię nawet tego słowa), mówię przecież wyraźnie: „Sport — bo trzeba za wszelką cenę ratować mięśnie...” Czyż nadaje się do potępienia rzecz, która ma uratować siłę człowieka? Sport istotnie jest nadzieją współczesnego świata. Ale to nie znaczy, że sympatyczny jest dzisiejszy sportowiec! Bo nie każdy wyznawca doktryny może być jej skutecznym apostołem...

Nie zgadzam się ze zdaniem pani I. F.: „sport jest rozrywką ludzi młodych, zdrowych, silnych. Jednostki i społeczeństwa zmęczone, przedenerwowane, zdegenerowane nie pragną sportu”. Mnóstwo zaprzeczeń tej opinii widzimy na każdym kroku. Wystarczy pójść do Agrikoli i popatrzeć, jak przekwitł



piękności oraz panowie w leciech leczą tenisem neurastenję. Albo przykład Francji — tej genialnej historyczki narodów... Na boiskach w St. Cloud, w Le Buc, w Antenil rzucają dyskiem i biegają po maratońsku właśnie ludzie drobni, często krzywonodzy, o astmatycznym sercu i przekrwionych żyłach. A kluby Hakoah, Makkabi, drużyny skautowe z pod znaku białe — niebieskiej gwiazdy — czy to nie krzyk o ratunek rasy zdegenerowanej? Objawy pocieszające, zbawienne... Owszem. Ale przecież nie igrzyska boga Dyonizosa! Tej schyłkowo — sportowej nuty trzeba mi było do obrazu niesympatycznego świata. Dlatego mój „osobnik o żarłocznej szczęce kopie piłkę, jak wczoraj kopał wroga”.

Pani I. F. pyta: Czemu u kobiet „z aberacji, bezwładu, chuci ma wynikać moda sportowa?” Dlatego, że z aberacji, bezwładu i chuci rodzi się chęć odnowy. Moda jest przejawskrawieniem, apoteozą, symbolem, czy też groteską. Zatem nic dziwnego, że współczesna pani nawet do teatru wkłada kapelusz, którego rodowód wywodzi się z auta. Gdzie tu miejsce na potępienie? chociażby na ironję?

Jeszcze raz powtórzę równie poważnie, jak to powiedziałam kilka tygodni temu: „Jedyna rada — nie gniewać się, poczekać.”

I dodam: w międzyczasie, włożywszy grube buty i pójść pieszo do pięciu Stawów Spiskich.

Marja Kuncewiczowa.

MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

CZĘŚĆ II.

20

NOTATKI PSYCHOLOGICZNE



olna Kobieta może już sobie pozwolić na luksus szlachetnej prostoty i na pańską prawdomówność. Strząśniemy z siebie z obrzydzeniem kaftan galganki kobiecych forteli. Wyprostujemy sobie kręgosłup!

Ale jest jedna fatalna w nas właściwość „niewolniczej duszy”, której, nie wiem, czy pozbedziemy się tak łatwo? — bo ta sięga korzeniami do gruntu kobiecej natury: Z przykrością przystępuję do rozpatrywania stosunku kobiety do kobiety.

Stosunek ten jest haniebnym! Lepiej byłoby, gdybyśmy byli mniej anielskie dla mężczyzny, a za

to, żebyśmy były więcej ludzkie jedna dla drugiej!

Naturalnie na dnie tego leży znów ta sama przyczyna przyczyn kobiecego świata: miłość. Cały świat kobiecy jest jednym polem konkursu miłości, — gdzie pomiędzy rywalizującymi zapala się jakiś dziki, mistyczny antagonizm o możliwości — On może jeszcze nie istnieć... Może być tylko

szkicem wyobraźni, oczekującym wcieleń — a już cały świat kobiety, każda kobieta jest niebezpieczeństwem, które się profilaktycznie odparowuje...

Każdą nowospotkaną ocenia niepokojny wzrok taksatora: „Ona czy ja? — gdyby tak on stanął między nami“... Błyskawiczna rewja wdzięków i wad „czemby ona mogła mię zdystansować“?

To nie jest oczywiście żadnym rozumowaniem świadomym! Mało kto pozwoliłby sobie robić takie głupstwa! To dzieje się w podświadomym, w sferze instynktu, bez form myślowych i bez słów. Ale o jest.

Każda kobieta w każdej kobiecie widzi rywalkę — i z każdą postępuje jak z rywalką.

Każda jest dla każdej nieżyczliwa i niechętna — kobiety się nie lubią. — Kobiety się nie znoszą!.. jedna drugiej.

Najczęstszy stan, jaki się z tego wywiązuje, to pokój zbrojny, kobiety mierząc się oczami, mierzą swe siły zbrojne: „Jej żądło jest tak silne i tak sprawne, jak moje — ona mi może narobić tyleż zła, co ja jej.“

A więc... otwierają się objęcia:

„Królowo moja, jak ty bajecznie wyglądasz dziś w tej sukni!“ i ściskają się artystycznie wymanicuirowane palce, słodko wpatrują się w siebie umiejętnie podcieniowane oczy i ułożone usta chwytają się jak dwa motyle w locie.

Przy równych siłach, gdy jedna drugiej zarówno się boi, spokój jest zapewniony i stosunki układają się całkiem znośne, a nawet miłe!

Ale niechże wpadnie w to środowisko taka synogarlica, typ bardzo zresztą rzadki wśród kobiet: istota naprawdę prosta; naiwna, nie zdająca sobie sprawy z tego, co się dookoła dzieje — albo taka głupia idealistka, która z pogardą odrzuca broń nieszlachetną... i wymyślona w swoje niebieskie migdały nie dostrzega dookoła siebie pajaków, haftujących misternie zasadzki...



zresztą dostrzegłszy je nawet, nie zareagowałyby ani oszczerstwem, które spala, ani intrygą, co przecina... no! na tej to już pojada!.. a jeszcze jeśli jest piękna, jeśli jest świetna!.. to już ją zmiotą z pola wspólnymi siłami wszystkie, na ten raz cudownie solidarne, idące po linii najmniejszego oporu... Zaszczuta zostanie, zagnana w najciemniejszy, najbardziej zapadły jakiś kąt! Jej odbiorą najwierniejszego męża, najbardziej zakochanego kochanka, najbliższego duchem przyjaciela.

Najczęściej niedopuszczanym do niej bywa wcale mężczyzna — chyba taki, z którego wszystkie się śmieją! Już one ją opiszą, jak węża.. już one ją „urządzą“. W lodowatej atmosferze wrogości, jaką one umieją wytworzyć dookoła swej ofiary, zgaśnie wszelka iskra poczynającej się dla niej sympatii. Nie oprze się sugestji wrogiego środowiska nikto!.. Każdy w końcu uwierzy, że się „na niej zawiodł“.

Kampanja jest tem zażartsza, im to jest wyższy typ człowieka i kobiety — im ofiara jest niebezpieczniejszą kandydatką do kochania.

Natomiast znajdzie łaskę, a nawet opiekę i protekcję jakieś skończone czupiradło, absolutne brzydactwo i niemoc.

Albo, muszą pokornie schylić głowę, zostawić w honorowym spokoju jakąś Królowę multivi-

rę, za którą stoi okazała gwardja czcicieli męskiego rodzaju lub przynajmniej kobietę, którą broni można rodzina i osobisty majątek.

Nie podobna tolerować warjacji rywalizacji o możliwości?!

Nie podobna wyrzucać kogoś, za burt, dla tego, co mogłoby być.

Jeżeli nowa znajoma odciągnęła jej rozmowę jednego tylko satelity na pół godziny, nie będzie więcej zapraszana na przyjęcia. Jeżeli mąż, kochanek, przyjaciel powiedział jej przyjaciółce jeden z tych zdawkowych komplementów, które się mówi bezmyślnie... wyreżyseruje jakieś takie zajście, sprokokuje rozmowę, list, w którym odkryje obrazę dla siebie, ażeby zerwać stosunki, ale zerwać je, jako pokrzywdzona szlachetność.

Mężczyzna będzie nienawidził mężczyznę, będzie działał na jego szkodę, zrujnuje go, oczerni, wyzwie na pojedynek i zabije — gdy ma o co! — między nimi stanie kobieta, którą kochają obydwa — rywalizują ze sobą o premierstwo na jednym polu. Tam, gdzie nie ma walki, ani osobistej, ani partyjnej, panuje między nimi uczuciowe zero, które bardzo łatwo podnosi się do ciepłej atmosfery koleżeństwa, do sympatycznej kameraderji o! — to nie jest żaden sentyment — ale niekiedy pewna zapomoga w życiu!

Walka konkurencyjna wywiązuje się pomiędzy dwoma kobietami nie o mężczyznę ukochanego przez obydwa — lecz o mężczyznę pierwszego lepszego.

One mu są obydwa całkiem niepotrzebne — on nie chce ani jednej, ani drugiej.

I on jest im na nic niepotrzebny — jęgo nie chce ani jedna, ani druga... Ale każdy potrzebny jest, każdej do liczby — jak statysta w teatrze do zwiększenia chóru.

Artysta malarz wezwany do magnackiego domu na wieś dla sportretowania rodziny, z nudów zaczął asystować pannom. (c. d. n.)



R. M. B L Ü T H

KARTKA Z DZIEJÓW KATOLICYZMU W ROSJI W PIERWSZEJ POŁOWIE XIX W.

(KSIEŻNA ZINAIDA WOŁKOŃSKA)

W specjalnym artykule, poświęconym genealogii Golicynów, wydanym przez członka tej rodziny, M. M. Golicyna¹⁾, czytamy²⁾: „Katolików między Golicynami było o wiele więcej (niż podał autor w „Materiałach“). Ale liczba w danym wypadku nie stanowi najbardziej opłakanej(?) strony zagadnienia. O wiele jaskrawszą stroną jest ta egzaltacja, ten entuzjizm (p. n.), z jakim niektórzy pośród nich służyli sprawie katolicyzmu.

Jeden z książąt Golicynów staje się misjonarzem katolickim w Ameryce (Le père Smith 1770—1840). Jedną z księżniczek—misjonarką. (Religieuse du Sacré Coeur. 1795—1843.)

Jak sobie wytłumaczyć ten fakt, jeśli nie wyjątkowym niedorozwojem, wyjątkową tępotą umysłową(!) — wyróżniającą pewną klasę rosyjskiego społeczeństwa“ (którą!? — tych co piszą, czy tych, co tu „opisani“).

Wskazana przez nas przyczyna niedorozwoju, rozumie się, zbyt jest ogólnikową. Byłoby więc bardzo pożądanem, by kolekcjonujący „Materiały“ na podstawie dokumentów i faktów, wyjaśnił należycie, na czym opierała się przyczynowo owa manja katolicka w rodzie Golicynów.

Ma się rozumieć historyk rodzinny nie próbuje tłumaczyć tych spraw. Poprzesztaje na krótkich, bibliograficznych wzmiankach. I jego gorszy odstępstwo... potomków Gedymina. M. Rodzic pisze o tem:

„Owo przechodzenie na katolicyzm podwójnie jest występne i nie do przebaczenia. Przecież Golicynów i wogóle rosyjskich Gedyminowiczów przybyłych(!) do Rosji — cechowała wierność dla prawosławia, była ona dowodem obcości względem Rzymu, dowodem ich żywej wiary w Świętą Rus i Wschodni Kościół.“

Co do „duszoznawczego“ domysłu autora artykułu w „Gołosie“ — „Rod Golicynów“ daje dowody, ale za wręcz odwrotną tezę: Golicynowie — katolicy — są najkulturalniejszymi przedstawicielami rodu — są wogóle przedstawicielami najkulturalniejszej sfery arystokracji rosyjskiej. Poza niewielu przedstawicielami tego rodu — słynących z kulturalnej działalności (n. p.

ks. A. Golicynem, ministrem oświaty i wyznań, doradcą Aleksandra I, mistykiem illuministą) — lwią część bibliografii M. Golicyna zapelniają tytuły książek samych Golicynów — katolików, czy monografii francuskich, niemieckich, angielskich o nich.

Zasłynęła także Golicynowa — anglikanka, o którą wielki spór się toczył między słynnym biskupem anglikańskim Palmevem (później konwertytą katolickim), zwolennikiem unji anglikańsko-prawosławnej, a innymi anglikanami i prawosławnymi.

Golicynowa-anglikanka³⁾ postawą swoją, wrogą prawosławiu, — unicestwiała plany Palmeva. Bardzo charakterystycznym dla katolickiej akcji w Rosji — jest to, że apostołami bywają przedewszystkiem kobiety, a więc jednostki bardziej niezależne społecznie.

Pierwszą propagatorką katolicyzmu między Golicynami jest Irina Pietrowa (1700—1751, czasy Piotra Wielkiego). Nawraca dwóch braci: Mikołaja (1708—1739) i Aleksego (1710—1718).

Zdała od... mody na katolicyzm, żyła żona ks. Dymitra Golicyna — słynna w otoczeniu pierwszych niemieckich romantyków — Adelaida Samojłowna Golicyn (1748 — 1803) żona posła w Paryżu i Turynie (więc poprzednika księcia Biełoziersko-Biełosielskiego) człowieka

¹⁾ Mówimy o „Materiałach dla pełnej genealogii ks. ks. Golicynów“ (1680). Też autor jest też monografja „Rod Golicynów“. Obydwie książki przeznaczone tylko na użytek rodu, są rzadkością. Otrzymałyśmy je od J. W. P. Stanisława Gorskiego, syna ks. Golicyna, za co J. W. P. Gorskiemu na tem miejscu serdecznie dziękujemy.

²⁾ Artykuł w „Gołosie“ cyt. przez Golicynowa „Rod“ str. 35.

³⁾ Ł. Golicynowa — słynęła także z tego, że była przez czas pewien (lata 1819—22) ideałem północnym Puszkina — patrz Szczegolew „Puszkina“ szkic. „Północna miłość poety“.

⁴⁾ Fr. Schlegel wykładał filozofję katolicką w 1829 — wykłady te bardzo żywo obeszły Mickiewicza i mogły wpłynąć na III cz. „Dziadów“ (Improwizacja). Mówimy o „Filozofji życia“, zwłaszcza chyba uderzył poetę ustęp dotyczący „mowy aniołów“ w przeciwieństwie do opornego języka zwykłych śmiertelników (Samotność, cóż po ludziach).

⁵⁾ Prince Dymitr Golitzin — un missionnaire russe en Amerique“ Paris—1856. „Vie d'une religieuse du Sacré Coeur, ou vie de Madame Elizabeth Golitzin“ (1795 — 1843).

kulturalnego. Spełniała ona na terenie niemieckim rolę podobną, jaką na paryskim spełniała m-me Swetchini, a na rzymskim nasza bohaterka, Wołkońska-Golicynowa, z domu von Schmettani; była więc... królową muz i piękna. Grupowała w swoim salonie kółko filozofów katolickich końca XVIII st.: Hermanna hr. Stolberga, Fürstenberga i innych. Była przyjaciółką Goethego i Schlegla. Przezywano ją „Diotymą“ od tytułu powieści Fr. Schlegla, jej poświęconej.

Adelaida Golicyn wielki wpływ musiała wywrzeć na rosyjską arystokrację. Może pod jej to wpływem rozpoczął się też ruch katolicki pośród rosyjskiej arystokracji.

Znamiennym jest los późniejszy Fr. Schlegla. Jak wiemy, w r. 1828 przeszedł on na katolicyzm i stał się jego gorącym propagatorem⁴⁾.

Ta... „niedorozwinięta“ według określenia duszoznawcy z „Gołosu“, wydała słynne: „Mittheilungen aus dem Tagesbuch der Fürst. Adelaid Amelie von Golizin“.

Jej synem był ów misjonarz amerykański, le père Smith, założyciel miasteczka Loretto. (W r. 1882 wydano w New-Yorku jego polemiczną rozprawkę p. t. „Of catholic principles“, oraz „Atetter tho a protestant“).

W okresie dworskiego życia ks. Zinaidy Wołkońskiej i późniejszej m-me Swetchu, przeszła na katolicyzm Aleksandra Pietrówna Golicyn (1794—1842). Przyjaciółka Sweczynowej nawróciła się w r. 1818.

M. M. Golicyn tak o tem pisze; „Później, w epoce wpływów jezuitów na wyższe sfery rosyjskie w początku XIX w., podobne przejścia na katolicyzm znowu się powtórzyły; gorliwą katoliczką była Aleksandra Pietrówna Golicynowa z domu Protasowa. Wpływała ona w tym duchu, bardzo silnie, zarówno na rodzinę męża, jak i na własną. Wpływ jej daje się do dziś dnia (1880) zauważyć w rodzie Golicynów.“

W tym samym czasie nawróciła się Elżbieta Golicyn — przeorysza późniejsza Sacré Coeur. O tej ostatniej, jak również o Dymitrze Golicynie (le père Smith) pisał głośny literat katolicki, Augustyn Golicyn, wnuk Golicyn - Protasowej⁵⁾.

(c. d. n.)

JOSEPH CONRAD (JÓZEF KORZENIOWSKI)

TLUMACZYŁA TERESA TATARKIEWICZOWA

Z POWODU DOLARÓW

7



Davidson zapytał ją znów, czy rzeczywiście mają zamiar go zamordować? Mówił jej, że nie zdarzyło mu się w życiu nic, w co by mu równie trudno było uwierzyć. Anna przytaknęła: Francuz całą duszę włożył w tę sprawę; Davy może się spodziewać, że o północy wślizgną się na statek, aby go w każdym bądź razie okraść, a może nawet zamordować. Powiedziała to głosem zmęczonym, nie odrywając wzroku od dziecka. Davidson w żaden sposób nie mógł w to uwierzyć, zbyt wielką miał pogardę dla tych ludzi.

„Posłuchaj Davy”, rzekła: „wyjdę z nimi, gdy wyruszą na tę wyprawę i skorzystam z jakiegokolwiek sposobności, aby się roześmiać; przyzwyczajeni są do tego, że się śmieją lub płaczą bez powodu. W tę cichą noc usłyszysz mnie na statku. Ale jakże jest ciemno na dworze, och, Davy! jak jest ciemno!”

„Nie narażaj się tylko”, rzekł Davidson i zwrócił jej uwagę na malca, który widocznie miał mniejszą gorączkę i zasnął głęboko: „Spójrz! Będzie już zdrow!”

Zrobiła ruch, jak gdyby chciała przycisnąć dziecko do piersi, lecz się powstrzymała. Davidson zabierał się do wyjścia, szepnęła mu więc pośpiesznie:

„Słuchaj, Davy! Powiedziałam im, że sypiasz zwykle w hamaku na rufie pod namiotem, umieszczonym ponad kajutą; rozpytywali się mnie o twoje zwyczaje i także o wszystko, co się tyczy statku. Wyznałam im wszystko, co wiedziałam, gdyż muszę udawać przed nimi ich współniczkę, a Bamtż byłby im i tak to samo opowiedział, rozumiesz?”

Skinął jej przyjacielsko głową i wyszedł. Banda, zebrana dookoła stołu, za wyjątkiem Bamtża, patrzyła na niego. Tym razem przemówił do niego Fector:

„Czy nie przyłączysz się, kapitanie, do naszej skromnej partii?”

Davidson odparł im, że wobec polepszenia się zdrowia dziecka ma zamiar pójść na statek, położyć się. Fector był jedynym z tej czwórki, którego właściwie nigdy nie widział, gdyż Francuza znał już z widzenia. Davidson zauważył mętne oczy Fectora i jego wąskie, pełne goryczy usta. Dławiła go pogarda dla

tych ludzi, podczas gdy jego spokojny uśmiech, uprzejme zachowanie i ogólne wrażenie prostoduszności podniecało ich odwagę. Zamienili porozumiewawcze spojrzenie.

„Będziemy długo grać w karty”, Fector rzekł cichym, chrapliwym głosem.

„Nie hałasujcie zbyt!”

„Kompanja nasza jest bardzo spokojna. A jeśli choremu będzie gorzej, Anna wyśle jednego z nas po ciebie, abyś znów zastąpił doktora. Nie strzelaj więc na nasz widok!”

„Nie jest on taki skory”, wtrącił Niclaus.

„W żadnym wypadku nie strzelam bez przyczyny”, rzekł Davidson.

Bamtż zaśmiał się z cicha. Jeden tylko Francuz wstał, aby odpowiedzieć ukłonem na Davidson’a nieudane skiniecie głową. Rozumiał teraz, dlaczego Francuz nie wyjmuje rąk z kieszeni.

Powrócił na statek. Był zły, umysł jego pracował gorączkowo. Opowiadał mi, że się uśmiechnął (był to zapewne pierwszy gorzki uśmiech w jego życiu) na myśl o siedmioletnim ciężarze, przywiązany do kikutu Francuza. Łotr przygotował się na wypadek kłótni przy podziale łupów. Nikt go nie posądzi, iżby był zdolny zadawać zabójcze ciosy, a on tymczasem da sobie znakomicie radę nawet z przeciwnikami, uzbrojonymi w rewolwery w czasie nagłej bójki

o podział zdobyczy, szczególnie jeśli sam wznieci kłótnię.

„Uzbrojony w ten sposób może stanąć do walki z każdym ze swych przyjaciół; na nic mu się to jednak nie zda: nie pokłóć się o te dolary”, myślał Davidson, wracając spokojnie na statek. Nie zatrzymał się ani na chwilę, aby się przekonać, gdyż większość jego ludzi była na lądzie, a reszta spała, zaszyta w ciemne kąty.

Miał plan działania, ułożony z góry i zabrał się systematycznie do wykonania go.

Przyniósł z dołu swe ubrania i ułożył je w hamaku naksztalt ludzkiej postaci; potem narzucił na nie lekkie bawełniane przykrycie, pod którym zwykł był sypiać na pokładzie. Poczem, nabiwszy dwa rewolwery, wdrapał się na jedną z dwóch szalup, które za rufą „Sissie” chwiały się na swych szlupbelkach i czekał.

I znów zaczął powatpiewać czy mu się to może wydarzyć. Był prawie zawstydzony tem śmiesznym czuwaniem w łodzi. Znudzony zaczął drzemać. Nużyła go cisza ciemnych przestworów; nawet plusk wody nie dotrzymywał mu towarzystwa, gdyż na skutek odpływu „Sissie” ugrzęzła w mule. Nagle nieruchomą ciszę gorącej nocy przerwał rozlegający się w puszczy po drugiej stronie strumienia głos argusa. Davidson zerwał się gwałtownie, zmysły jego znów były czujne.

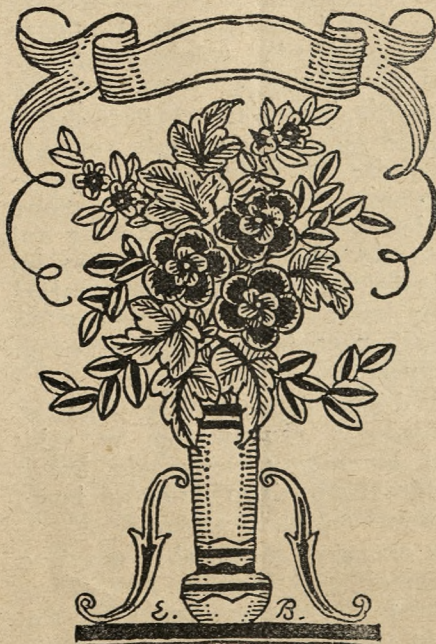
Świeca wciąż jeszcze paliła się w domu. Wszystko znów pograżyło się w ciszy, lecz senność go odbiegła. Ciężko na nim przykre przecucie nieszczęścia.

„Nie boję się przecież” tłumaczył sobie.

Cisza przyłożyła mu swe pieczęcie na uszach, a wewnętrzna, nerwowa jego niecierpliwość stawała się nie do wytrzymania. Nakazywał sobie spokój. Lecz pomimo, to miał właśnie zamiar wyskoczyć z łodzi, gdy go dobiegło lekkie rozfalowanie ogromnej ciszy, po prostu drgnienie atmosfery, jakby cień srebrzystego śmiechu.

Złudzenie!

Zachowywał się jak mógł najciszej, nie sprawiał więcej hałasu niż mysz, która by była gotowa na wszystko. Lecz nie mógł otrząsnąć się z przecucia nieszczęścia, większego od niebezpieczeństwa, na jakie był przygotowany. Nic się jednak nie stało. Było to złudzenie.



Zbudziła się w nim ciekawość, jak się wezmą do roboty. Rozmyślał nad tem tak długo, aż wreszcie cała ta sprawa wydała mu się bardziej nieprawdopodobną niż kiedykolwiek.

Zostawił, jak zwykle, palącą się w kajucie wiszącą lampę. Uplanował sobie bowiem z góry, że wszystko ma być jak zwykle. Nagłe w mętnem świetle łuku świetlnego ukazał się wielki cień, który wdrapawszy się bez hałasu po drabinie, zbliżył się dwoma krokami do hamaka (wiszącego wprost ponad lukiem) i stanął bez ruchu. Był to Francuz!

Minuty upływały. Davidson domyślał się, że Francuzowi (biedny kaleka!) powierzono czuwanie nad jego (Davidson'a) snem, podczas gdy jego towarzysze zapewne wyłamywali kłapę od magazynu.

Nikt teraz nie potrafi wyjaśnić, co zamierzali uczynić po zrabowaniu srebra (a było go dziesięć skrzyń, każdą z łatwością mogło unieść dwóch ludzi). Przypuszczenia Davidson'a co do chwili obecnej były jednak słuszne, dostali się już bowiem do kajuty. Spodziewał się usłyszeć lada chwila trzask wyłamanych drzwi. Tymczasem jeden z nich (może Fector, który w swoim czasie wykraadał dokumenty z zamkniętych biurów) umiał otwierać zamki wytrychem i widocznie zaopatrzył się w narzędzia. Wówczas, gdy Davidson spodziewał się usłyszeć lada chwila początek roboty, na dole sztafa była już odsunięta, a dwie skrzynie wniesione do kajuty.

W rozproszonem, bladym świetle, padającym na pokład przez łuk świetlny Francuz, stojąc bez ruchu, wyglądał jak posąg. Davidson mógł być z łatwością go zastrzelić, lecz nie miał morderczych instynktów. Poza tem chciał wiedzieć przed rozpoczęciem walki, czy reszta rozpoczęła już swe dzieło. Nie słysząc oczekiwanego hałasu, nie był pewien, czy są jeszcze wszyscy na statku.

Gdy tak nadśluchiwał, Francuz, który dotychczas stał bez ruchu, może prowadząc ze sobą wewnętrzna walkę, postąpił teraz o krok naprzód, a potem jeszcze o jeden. Davidson ujrzał z przerażeniem, jak, wysunąwszy naprzód nogę, wyciągnął z kieszeni uzbrojony prawy kikut i całym ciałem nabrawszy rozmachu, aby uderzeniem nadać większą siłę spuścił siedmiofunto-ww ciężar w to miejsce hamaka, gdzie powinna była leżeć głowa śpiącego.

Davidson wyznał mi, że wówczas włosy stanęły mu dęba na głowie. Gdyby go Anna nie była ostrzegła,

położyłby głowę na tem właśnie miejscu, nic nie podejrzewając. Zdumienie Francuza musiało być niesłychane. Odskokzył od zlekką chwiejącego się hamaka i nim Davidson zdążył się poruszyć, zniknął, zbiegając wielkimi susami po schodach w dół, aby ostrzec i zaalarmować towarzyszy.

Davidson wówczas szybko wyskokował z łodzi i odsłoniwszy łuk, ujrzał ich pochylonych nad kłapą. Spojrzeli w górę, wystraszeni; w tej samej chwili Francuz ryknął za drzwiami „Trahison! trahison!” Wypadli z kajuty, popychając się wzajemnie i wymyślając. Davidson strzelił w dół przez łuk świetlny, ale nie trafił żadnego; pobiegł więc do kabiny pokładowej i zaczął z za niej ostrzeliwać ciemne postacie, biegnące po pokładzie. Odpowiedzieli mu strzałami i wywiązał się gorący ogień, rozlegał się huk i błyskały światła. Davidson, ukryty za wentylatorem naciśnął kurek dopóki rewolwer był nabity, potem, odrzuciwszy go, schwycił w prawą rękę drugi.

Słyszał wśród zgiełku wściekłe wycie Francuza: „Tuez-le! tuez-le!”, górujące nad przekleństwami reszty. Lecz, pomimo że się ostrzeliwali, chodziło im jednak tylko, aby zdążyć uciec. W świetle ostatnich strzałów Davidson zobaczył, jak przełazili przez poręcz. Pewien był, że trafił więcej niż jednego, gdyż dwa różne głosy krzyknęły z bólu, lecz na pozór żaden z nich nie był obezwładniony.

Davidson, oparłszy się o burtę, nabijał spokojnie rewolwer. Nie przypuszczał, aby powrócili, z drugiej strony nie miał też zamiaru gonić ich na brzegu w ciemnościach. Nie miał pojęcia, co robia, zapewne opatrują swe rany. W pobliżu wybrzeża niewidzialny Francuz wymyślał i przeklinał swych towarzyszy swoją dolę i cały świat. Nagle za milki i po chwili, wśród nocy rozległo się jego mściwe wycie: „Ta kobieta, ta kobieta nas zdradziła!”

Nagle wyrzuty sumienia ścisnęły mu gardło. Spostrzegł się z przerażeniem, że plan jego obrony zdradził Annę. Nie zawahał się ani chwili: do niego należało teraz jej ocalenie. Jednym susem znalazł się na brzegu, lecz gdy wbiegł na pomost, przenikliwy krzyk przeszył mu duszę.

W domu świeciło się jeszcze. Davidson z rewolwerem w reku szedł ku niemu, lecz gdy krzyk powtórzył się nieco dalej na lewo, skierował się w tę stronę.

Zmieniwszy kierunek, wkrótce zatrzymał się jednak pogrążony w okrutnej rozterce. Domyślał się, co się stało: Annę, która wymknęła

się w jakiś sposób z domu, gonił rozwścieczony Francuz. Davidson przypuszczał, że będzie usiłowała schronić się na statek.

Dookoła wszystko ucichło. Cisza ta znaczyła, że w każdym bądź razie, czy Anna dopadła pokładu, czy też jeszcze nie dobiegła, Francuz zgubił jej ślad w ciemnościach.

Davidson odetchnął z ulgą, lecz bardzo jeszcze niespokojny skierował się ku brzegowi rzeki. Nie zrobił jeszcze w tym kierunku dwóch kroków, gdy z tyłu, za nim znów w pobliżu domu rozległ się krzyk.

Pomyślał, że Francuz zapewne na razie stracił ślad nieszczęśliwej kobiety, tembardziej, że potem nastąpił okres ciszy. Lecz widocznie ohydny zbrodniarz nie porzucił swych morderczych zamiarów i przypuszczając, że Anna będzie usiłowała dostać się z powrotem do dziecka, zaczął się w pobliżu domu.

Taka mniej więcej scena musiała się tam odegrać: W chwili, gdy Annę oświecił blask, padający na schody domu, Francuz, rwąc się do zemsty, wypadł zawczasie z zasadzki. Wówczas, ujrzawszy go, wydała ów drugi okrzyk śmiertelnej trwogi i dla ocalenia swego życia rzuciła się do ucieczki.

Tym razem uciekała w stronę rzeki, lecz nie w prostej linii. Krzyk jej krążył dookoła Davidson'a, który w ciemnościach obracał się na piętach, śledząc te okropne dźwięki. Chciał zawołać: „Anno! tędy; jestem tutaj!” ale nie mógł. Okropna ta gonitwa, choć jej nie widział, przejmowała go w wyobraźni taką zgrozą, że w gardle mu zaschło, a czoło pokryło się potem. Ostatni krzyk ofiary nagle został urwany.

Lecz cisza, która potem nastąpiła, była jeszcze straszniejsza. Davidson'owi zrobiło się słabo. Z trudnością oderwawszy nogi od ziemi ruszył przed siebie, ściskając w ręku rewolwer i wpatrując się z trwogą w ciemności nocy. Nagle o kilka kroków przed nim, jak z pod ziemi ukazała się potężna postać i zaczęła uciekać. Odruchowo strzelił za nią i rzucił się w pogoń, lecz potknął się o coś miękiego i upadł na ziemię jak długi.

Gdy padał głową naprzód, wiedział już, że nie mógł zawadzić o nic innego tylko o ciało Anny Śmieszki. Podniósł się i, klęcząc, usiłował dźwignąć ją w ramionach. Lecz, gdy uczuł jak jest bezwładną, położył ją z powrotem. Leżała z twarzą ku ziemi, a długie jej włosy rozrzucone były dookoła; niektóre ich pasma były wilgotne. Davidson, macając jej głowę, natrafił na kość, ustępującą mu pod palcami; przed tem odkryciem wie-

dział już, że Anna nie żyje. Scigający ją Francuz powalił ją uderzeniem od tyłu i, przykucnąwszy na jej plecach, tłukł w głowę ciężarem, który mu ona sama przywiązała do kikuta. Wówczas odstąpił go Davidson, ukazawszy się niespodziewanie wśród ciemności.

Davidson'a klęczącego obok trupa kobiety, która zginęła tak marną śmiercią, gnębiły wyrzuty sumienia. Zginęła przez niego. Męstwo przegasało w nim, bał się po raz pierwszy w życiu. Morderca Anny Śmieszki

mógł lada chwila w ciemnościach rzucić się na niego. Przyznaje się, że miał ochotę, uciekając na rękach



i na kolanach od tego żalosnego widoku, powlec się na statek. Powiada nawet, że zaczął to robić.

Z trudnością można wyobrazić sobie Davidson'a, uciekającego na czworakach od trupa zamordowanej kobiety. Davidson'a zgnębił i zniechęconego myślą, że kobieta ta po części zginęła dla niego. Lecz uciekł niedaleko, zatrzymała go myśl o malcu, o dziecku Anny Śmieszki. Nie może go przecież porzucić na pastwę „psiego życia”, jak pamiętał, że się wyraziła.

(d. c. n.)

W A N D A M I Ł A S Z E W S K A

ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)

25

— Nawet trzeba! — odpowiada Zbigniew dość opryskliwie i nagle zwraca się ku mnie: — Jak mogłem zarzucić muzykę? Dziwi cię to? Prawda, miałem podobno wielki talent. Ale oprócz talentu, moja droga, potrzebne są jeszcze inne rzeczy: wiara w siebie, wytrwałość, praca. Wreszcie — warunki do pracy. Tego wszystkiego zabrakło. A przytem, od chwili swojej choroby, Ela nie znosi muzyki. — Widziałem, jak ją to drażni, kiedy zaczynałam wygrywać pięciopalcówki. Więc dałem spokój.

Zapalił papierosa i począł chodzić po pokoju. W pustej, prawie ogołoconej z mebli bawialni, każdy krok rozlegał się echem.

— Tak — zaczął po pauzie, zatrzymując się znowu przedemną. — To już skończone. Trzeba tylko powiedzieć sobie w porę: basta. Mogłem być wielkim artystą. Nie będę nim, to wszystko. Wielu jest powołanych, ale niewielu wybranych.

— Mogłeś należeć do wybranych, Zbigniewie.

— Mogłem! — powtórzył z goryczą. — Oto straszliwe słowo bez wartości. Służy jedynie do stwierdzenia wszystkich omyłek, jakie się popełniło w życiu i których już nic nie naprawi. Ef, dajmy temu pokój. Lepiej chodźmy jeść krupnik, który oddawna stygnie zapewne, ku rozpaczowi Wątkowej. Potem pójdziemy na staw, zobaczymy dwa księżycy w pełni, a potem ołwiozę cię do domu.

XXXI.

A jednak jest w tem wszystkim trujący czar. Upijamy się wspomnieniem, aż do utraty świadomości, że czas przechodzi. Dopiero po powrocie do domu trzeźwieję. Liczę wtedy minione dni: Siedem, osiem, dziewięć. Zbigniew nic do tego nie wspominał o wyjeździe. Czy to ma jakiś związek ze mną?.. Czuję, że tak, ale nie śmiem zapytać. Kiedy go widzę, myślę tylko o jednym: że wolno mi jeszcze patrzeć na niego. I patrzę. A jednak, trzeba mieć trochę odwagi..

Dzisiaj, gdyśmy siedzieli, jak zwykle, na ganku, patrząc w zalany słońcem sad, spytałam nagle:

— Jak stoją twoje sprawy? Znalazłeś kupca?

— Kupca? Na co?

— Mówiłeś przecież o sprzedaży Klimontowicz. Myślałam...

— Ach, tak. Rzeczywiście, przyjechałem z takim zamiarem. Ale już tego nie robię.

— Czemu?

Spojrzał na mnie badawczo, prawie ze zdumieniem. Pożalowałam pytania, na które mogłam w jego oczach wyczytać wyraźną odpowiedź: Przecież ty sama dobrze wiesz. Czy udajesz, że nie rozumiesz?..

— Skoro już o tem mówimy — zaczął Zbigniew po chwili — mogę cię teraz zapewnić, że Klimontowicz nie sprzedam.

— Ostatecznie, mieszkacie przecież w mieście. Nie osiedlicie się tutaj...

— Kto wie? — szepnął,

— Myślisz, że Ela zgodziłaby się przyjechać tu na stałe?

— Jeżeli nie na stałe, to chociaż na parę miesięcy. Właśnie zamierzam napisać do niej,

„Napisać“! — mimowoli odetchnęłam z ulgą. A zatem nie wyjedzie stąd jutro, ani pojutrze. Jednakże wtrąciłam po chwili:

— Ela pewnie się dziwi, że siedzisz tutaj tyle czasu. Przyjechałeś na kilka dni, a to już dwa tygodnie...

— Słuchaj, Krysiu. Jeżeli chcesz mi robić wymówki, proszę, czyń to otwarcie. Powiedz, że nie mam serca, bo zostawiłem chorą żonę w Warszawie. Gorzej: postępuję wprost nieuczciwie, ponieważ w żadnym liście nie wymieniłem, jakie sprawy opóźniają mój powrót. Jeśli znasz tę przyczynę, skarć mię, lub rozgrzesz. Dawno już dałem ci prawo decydowania o naszym wspólnym losie, niestety... Nie możesz tylko udawać, że nie rozumiesz, dlaczego odwlekam wyjazd i staram się o nim zapomnieć...

Mówił nieomal z irytacją. Piękne jego oczy ściemniały nagle, głos drżał.

— Wierzaj, Zbigniewie — szepnęłam — Wolałabym nie domyślać się tej przyczyny. Bo jeżeli istotnie zostałeś w Klimontowcach dlatego, że...

— Dlatego, że ty tu jesteś! — wybuchnął — Tylko dlatego. Innej przyczyny niema.

— W takim razie miałam słusność, obawiając się tego spotkania. Dla wszystkich byłoby lepiej...

— Być może — odparł krótko — Ale się stało. Nie mówmy o tem więcej.

Zamilkliśmy oboje. Słońce poczynalo świecić coraz jaskrawiej poprzez liście. Małe, zwinnie jaskółki latały tuż nad ziemią, pokrzykując swoje żalosne pii — wiit, pii — wiit. Chwilami tak zniżały lot, że zdało się, zawadzą skrzydłkiem o żwir na ścieżce. Goniąc wzrokiem ich błyskawiczne ruchy, dostrzegłam w jakiejś chwili zgnębioną twarz Zbigniewa. Nie patrzył na jaskółki, ani na słońce. Patrzył przed siebie, nie widząc, jak człowiek bardzo zajęty myślami.

Ciepła fala przepłynęła mi przez serce. Więc on jednak cierpi z mego powodu. A to przecież nie moja wina, nie moja wina, nie moja...

— Zbigniewie — odezwałam się bardzo łagodnie. — Przecież to poprostu śmieszne. Nie możemy dłużej rozmawiać, jak dwoje smarkaczy. Spójrz na mnie. Przypomnij sobie, ile mam lat. Ile to lat minęło...

— Wiem — przerwał — wiem, co mi powiesz. Znam już ten twój rozsądek. Popsuł nam życie. Ale teraz, pamiętaj, teraz ja ciebie odnalazłem. I nie myślę stracić cię z oczu. O, nie. I proszę, nie mów nic więcej. Nie mów, że krzywdzę własną żonę. Kto wie, czy właśnie Ela nie zrozumiałaby najlepiej, gdyby wiedziała...

— A jednak zataiłeś przed nią nasze spotkanie. Tem samem okłamałeś nasze wzajemne uczucia. Zepchnąłeś je do rzędu występnych. Mogły być piękne, a stały się odrazu szkaradne. Żle uczyniłam, Zbigniewie, bardzo źle. Starasz się wmówić we mnie i w siebie, że przyjaźń nasza jest prawdą, a obwijasz ją w samym zarodku przedzą drobnych kłamstw.

— Mylisz się. Nie okłamuję Eli. Nie okłamywałam jej nigdy, ani przez jedną chwilę. Nawet wówczas. I jeżeli teraz nie piszę, to dlatego, że chcę jej o tem powiedzieć. Chcę, żeby mogła patrzeć mi prosto w oczy i wyczytać w nich całą prawdę.

— Jaką prawdę? Zbigniewie, na miłość Boską...

Ukrył twarz w dłoniach. Zapadło długie milczenie, którego żadne z nas nie śmiało przerwać. Słońce już zaszło. Od pola powiał rzeźwy wiatr, przynosząc gęstą, miodową woń tataraki. Kędyś, daleko, powracające z roboty dziewczęta śpiewały na przeciągłą, żalosną nutę jedną z tych swoich, ulubionych piosenek. W przezroczyściej ciszy wieczoru każde słowo dźwięczało wyraźnie;

Ej, żurłisia żurłisia,
Ej, żurłisia, żurłisia,
Szto małodyj żeniłisia...

Ni po sobie żonku wziął,
Ni po sobie żonku wziął.
Daj on z jeju żyć ni stał.

Zbigniew podniósł głowę. Oczy nasze spotkały się.

— Masz słuszość — rzekł — Nie wiem, nie pojmuję, co się zemną dzieje od kilku dni. Nie mogę się oprzeć złudzeniu, że życie wstrzymało nagle swój bieg, a nawet cofnęło się wstecz o całe, długie lata.

— Zegar... — szepnęłam do siebie.

— Co mówisz, droga?

— Ot nic. Przypomiał mi się stary zegar Klimontowski. On także stanął, biedak i wskazuje niezmiennie jedną godzinę. Mam go u siebie, zabrałam go stąd, jak swoją własność i nieraz patrzę na nieruchome wskazówki. W takich chwilach i mnie się zdaje, że czas zatrzymał się w biegu. Ale potem — przychodzi moment rozważ. Wówczas trzeba zdać sobie sprawę, że to nie życie samo, a tylko stary zegar przestał wydzwaniać dalsze godziny.

— A jednak, Krysiu, jest taki moment w dniu, codziennie jest taki moment, gdy zegar wskazuje czas właściwy. To godzina, na której się przed laty zatrzymał.

— Tak, Zbigniewie. To godzina mojej ucieczki z Klimontowic... Bo trudno ją nazwać odjazdem — dodałam, uśmiechając się do dalekiego wspomnienia.

Powstał i zbliżył się ku mnie.

— I zarazem godzina, w której znów ciebie spotkałem. Daj rękę, muszę ją ucałować, o tak. Widzisz, Krysiu, wszystko, czego dziś pragnę i czego chyba wolno mi pragnąć, to mieć taką godzinę od czasu do czasu, jedną taką godzinę na własność. Czy to źle? Czy komukolwiek dzieje się krzywda przez to? W takiej chwili mam prawo mówić ci wiele rzeczy. Wszystko, czego nie powtórzę przedtem, ni potem. Mam prawo powiedzieć, że cię zawsze kochałem i kochać nie przestanę...

Pochylił się, ujął w obie dłonie mą głowę.

— Mam prawo — powtórzył — zwłaszcza, że ta godzina nie mieści się w rzeczywistości. Wskazuje ją zegar milczący, którego nikt, prócz nas, nie słyszy...

XXXII.

...A czasem wydaje mi się, że to był tylko sen i że zbudziłam się z niego w szary, deszczowy poranek, tak niepodobny do wszystkich ranków poprzednich, jak rzeczywistość różni się od marzeń.

Księżyc wszedł w ostatnią kwadrę i jednocześnie zaczęła się nieznosna plucha. Podobno to tak bywa, po pełni. Będzie padało ze trzy dni, może z tydzień. „Całe szczęście — rzekła burmistrzowa — że ludziska już jęczmień sprzątnęli, bo na kartofle to tam jeszcze nie zaszkodzi“.

Nie zaszkodzi? A to dobrze. Niech pada...

Głowa mię boli. W gardle czuję dziwną suchość. Czyżby znowu choroba? Et, nie. Taki sobie, zwyczajny katar.

Teraz wszystko wydaje mi się zwyczajne. Nawet katar. Zwyczajnie klóć się baby i wymyślają sobie na rynku, zwłaszcza we wtorek, który jest dniem jarmarcznym. Zwyczajnie deszcz pluszcze w okna, zacieka przez nieszczelne szybki do pokoju i zalewa świeżo pomalowaną podłogę. Zeszłego roku pod jesień, może cokolwiek później, działało się akurat tak samo. Nawet podłoga była też świeżo pomalowana.

W szkole już kończą bielić ściany. Byłam tam, żeby trochę popędzić majstrów. Głuchoniemy mularz, którego wszyscy „Niemkiem“ zowią, zapytał mnie na migi, czy i piec także przestawić. Odpowiedziałam mu giestami, że i piec także.

A dzisiaj przyszedł list od Leonki Mrozowiczówny. Przepraszam, od pani Dąbkowej, bo już ona tak się nazywa. Pisze, że zdrowa, że szczęśliwa, że na pierwszego września „nieomylnie“ przyjadę, ale nie wcześniej, bo „mój mąż ledwie co wrócił z kursów i zanim się popakujemy, (a jest tych gratów wcale sporo.) to i czasu trochę zejdzie“.

A potem pisze jeszcze pani Leonka (Mój Boże, czy ja się kiedy przyzwyczaję?) że mnie strasznie kocha i cieszy się, że mnie zobaczy niebawem, a tymczasem prosi, żeby sprawdzić, czy Szłomka mieszkanie dla nich wyprzątnął, bo przyjechać i zastać cudze śmiecie, to wcale nieprzyjemnie.

Widziałam to mieszkanko. Małe jest, ale podobno słoneczne. Podobno, bo teraz słońca ani na lekarstwo. Deszcz i deszcz...

I pomyśleć, że jeszcze tak niedawno...

Zaraz, wiele to dni? Zbigniew wyjechał w sobotę. Następny ranek zszedł jakoś niepostrzeżenie. Byłam na sumie, potem „na chwi-



leczyć" wstąpiłam do panny Moniki. "Chwileczka" trwała do wieczora. Niebo jeszcze było pogodne, gwiazdy świeciły mocno, jak to w sierpniu. Nazajutrz zbudził mnie deszcz. Poniedziałek, wtorek... Tak, to już trzeci dzień pada.

Ten nieznośny ból głowy męczy mnie, nie daję myśleć. Choć z drugiej strony — o czym mam myśleć? Wciąż, wkoło, przeżywać wspomnienia ostatnich, słonecznych dni? Po co? Nasz zatrzymany zegar drgnął. Ja sama posunęłam jego wskazówki.

Od pierwszego wejrzenia zauważyłam, że Zbigniew jest jakiś nie-swoj. Usiłował nadrobić minę, śmiał się, nawet podżartowywał ze mnie, ale zbyt dobrze go znam, aby mię zwiodła ta wymuszona swoboda.

Byliśmy w lesie. Pokazywałam mu moje ulubione świerki i tajemnicze zakątki, gdzie zawsze o tej porze roku można znaleźć dorodną parkę borowików. W górze, ukryte wśród gałęzi, darły się wszystkie

ptaki, jakby podniecone naszym zuchwałem najściem na ich królestwo. Gwizdały misterne wilgi, a ich samiczki odpowiadały wcale niemelodijnym skrzekiem, w myśl zasady, że każdy ptak śpiewa, jak mu dziób wyrósł.

— Słyszysz, co za rejwach? To chyba na deszcz...



— Tak, tak... — odparł z roz-targnieniem.

Wzięłam go za rękę i zapytałam, patrząc prosto w oczy:

— Zbigniewie, tobie coś jest.

— Mnie? Cóż znowu...

— Nie udawaj przedemną. Masz jakąś przykrość?

— Przykrość? Nie, skądże...

— A jednak...

Raz jeszcze zaprzeczył ruchem głowy. Nagle, jakgdyby powziął jakąś decyzję, rzekł krótko:

— Otrzymałem dziś zrana list.

— Z domu? Od Eli?

— Tak.

— Czy mógłbyś mi go pokazać?

— Po co? Nic ciekawego. Nie wiem nawet, czy go zabrałem z domu...

— Zabrałeś go z pewnością, Zbigniewie. I proszę, daj mi go.

— Ha skoro chcesz koniecz-nie... — wyjął z kieszeni złożoną w kilkoro ćwiartkę. — Ale powta-rzam jeszcze raz, nic ciekawego.

(c. d. n.)

KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773 — 1831

17



Przed oknami celi, gdzie leżał w gorączce lord Edward, powieszono oficera sztabu powstańczego Clincha. Tookropne widowisko było ciosem, który dobił rannego. Uptyw krwi go wyczerpał, gorączka strawiła, klęska umiłowanej sprawy, niedola kraju bolały więcej od niezgojonych ran. W gorzkim osamotnieniu, w mrocznej kaźni gasł człowiek słoneczny, tak bardzo kochający i kochany. Jedyna dusza żywotna, jaką widział wkoło siebie: to był młody chirurg, opatrujący mu rany. On jeden, w swych prostych i lakonicznych zapiskach, utrwalił ostatnią myśl tego serca, bohatera, a tak bardzo ludzkiego:

„Prosił mnie lord Fitz Gerald — pisze dr. Garnett — abym mu przeczytał rozdział ewangelji o meście Chrystusa Pana, a potem rzekł:

„Umieram chętnie, tylko mi żal opuścić żonę i dzieci.”

By dać ostatni dowód „miłości i zaufania” drogiej towarzysze dni szczęśliwych, zapragnął spisać testament. Gdy notariusza dopuścić nie chciano, doktor przekazał słowa umierającego prawnikowi, siedzącemu u bramy więzienia, a dozorczy potwierdzili ich prawdziwość *) Fitz Gerald zostawiał żonie wszystko, co posiadał, zostawiał jej

*) Testament brzmiał:

Ja, lord Edward Fitz Gerald, pozostawiam ten testament, jako moją ostatnią wolę, odwołując wszelkie inne rozporządzenia. Wszystko co posiadam w chwili mojej śmierci, daję żonie mojej, lady Pamelii Fitz Gerald, jako świadectwo mego szacunku, miłości i zaufania dla niej na przeciąg jej życia, a po jej śmierci do podziału na równe części między dzieci moje, albo ich potomstwo; niech wychowuje dzieci i stanowi o nich według swojej woli i mianuje ją wykonawczynią tego testamentu.

Podpisane, opieczetowane i wydane dnia 26 maja 1798. Obecni: Alex, Lindsay, Geo, Stewart i Sam Stone.

wyłączną nad dziećmi opiekę. Nie wspominał o matce, choć tak bardzo ją kochał, choć dawniej „podarował” jej syna. Ale to była Angielka, a teraz między Anglią, a jego męczeńskim narodem leżało morze łez i krwi. A może gołębice to serce przejrzało wreszcie zdradę? Może nie chciał, aby się syn jego chował w domu pana Ogilvie?

W pierwszych dniach czerwca dr. Garnett zawiadomił ukradkiem rodzinę Fitz Geralda, że dni chorego są policzone. Lady Luiza Conolly z siostrzeńcem swym Henrykiem pospieszyła do kanclerza, lorda Clare, prosząc, aby się ulitował i dopuścił ich choć na chwilę do łóża Edwarda. Kanclerz wzruszył się, ale pisemnego pozwolenia na widzenie się dać im nie mógł. Zakaz był srogi. Zaprowadził ich jednak sam do więzienia i wpuścił do celi, gdzie leżał chory, a sam cofnął się wraz z chirurgiem do izby sąsiedniej.

Lord Edward, bardzo wycieńczony gorączką, ale przytomny, uradował się niespodzianym widokiem

swoich bliskich „jakby niebo otworzyło i zobaczył.“ Wyciągnął do nich ręce i uśmiechnął się, ale był to już uśmiech nie z tego świata. Ciotce i bratu zdawało się, że widzą przed sobą cień człowieka, tak niedawno jeszcze promieniejącego zdrowiem, weselem i urodą. Ucałowali go, tłumiąc łkania i odeszli, musieli odejść, obiecując, że powrócą.

A on biedak umarł tej samej nocy. Zrana 4 czerwca dozorca wszedłszy do celi, zastał wyciągnięte sztywnie na tapczanie, zimne już zwłoki.

Miasto zawrzało, bagnety stłumić nie zdołały wrogich rządowi manifestacji. Nie brakło fantastycznych plotek. Opowiadano, że Pamela zdołała przekraść się do więzienia i dostarczyła mężowi trucizny, aby mu oszczędzić śmierci z ręki kata. Patrjoci pocieszali się przez czas jakiś legendą o cudownym ocaleniu więźnia, którego jakoby uspioło narkotykiem i wyniesiono w trumnie. Inni oskarżali rząd, że potajemnie zgładzić kazał uwielbianego przez naród człowieka, obawiając się procesu, który szerokim echem odbiłby się w świecie. Nawet lord Henryk, uniesiony bólem, napisał do wicekróla list gwałtowny, pełen wyrzutów, że przez zaniedbanie ran, zamordowano mu brata.

Sędziwy książę Richmond, przed którym siostrzeniec w podobny sposób, odpowiedział ze smutkiem, że kto wie, czy los nie okazał się łaskawym dla biednego Edwarda, oszczędzając mu dalszych cierpień. Proces jego oznaczony był na dzień 13 czerwca, a wynik nie mógł być wątpliwy.

Tylko jak o tem powiedzieć Pameli?

* * *

Księżna matka wyjechała do Dublinu, zabierając ze sobą małego Eddy. Wiozła go „do tatusia.“ Ufała, że wpływy jej otworzą drzwi do więzienia syna, i że zdoła uzyskać dla niego ułaskawienie.

W drodze miała ją spotkać okropna wieść o śmierci Edwarda.

Pamela pozostała sama.



Pan Ogilvie odprowadził żonę na okręt i wrócił do Londynu.

Wtedy ujrzawszy się panem domu, zapowiedział zniechęconej „Francuzce“, że ani godziny dłużej nie ścierpi jej pod swoim dachem.

(Przed rodziną tłumaczył się potem, że nie mógł znieść widoku osoby, która była przyczyną nieszczęścia Edwarda.*)

Gdyby nie zjawił się w tej chwili zacny, stary książę Richmond i nie wziął Pameli pod swoją ojcowską opiekę, byłaby się biedaczka znalazła na bruku londyńskim, „nie wiedząc, gdzie głowę skłonić.“

A na jej biedną głowę miał spaść najcięższy z ciosów.

Książę wiedział już o śmierci Fitz Geralda i zabierając młodą kobietę do swej rezydencji w White-hall, gdzie trzydzieści pięć lat temu urodził się biedny Edward, troszczył się, jak ma jej oznajmić tę fatalną wiadomość.

„Próbowałem już w karcie przygotować ją na nieszczęście — opowiada w liście do Henryka — powtarzając kilkakrotnie, że boję się, aby poczta dzisiejsza nie przewiozła złych nowin. Ale ona mnie nie zrozumiała.“

„Przybywszy do domu, zawezwałem lekarza i w jego obecności, z wielką ostrożnością oznajmiłem jej smutną nowinę. Bolesć jej miała w sobie coś przerażającego. Zemdląła. Gdy otwarła oczy, wszedł książę Leinster. Wzięła go za Edwarda. Oh! jakaż to była roz-

*) Opinia ta była powszechnie rozszereżana. Nawet czytelnicy „Gazety korespondenta warszawskiego i zagranicznego“ czytali dnia 20 czerwca 1798 r.

„Wiadomo, że nieszczęśliwa lady Fitz Gerald znana pod nazwiskiem Pameli, jest córką hrabini de Genlis, guwernantki dzieci bywłego księcia d'Orleans (Egalité). Będąc wychowana w domu tego dawnego dowódcy rewolucji francuskiej, nie dziw, że zasady wolności i równości, które w umyśle swym utkwiała, udzieliła mężowi swojemu.“

pacz potem, jaka okrutna scena! „Ale powoli, bardzo powoli zdołaliśmy ją uspokoić.“

„Choć do tej pory nie może spać, a tem mniej jeść, chcę mieć nadzieję, że zdrowie jej nie dozna poważniejszego szwanku.“

„Daje dowód wielkiej dobroci serca, dopytując się wielokrotnie o siostrę moją, o Lucy... Zdaje się, że przynosi to jej ulgę niejaką, gdy może troszczyć się o istoty, które były tak drogie jej kochanemu mężowi.“

Tragiczny zgon lorda Edwarda, „wiecznych godzin leż“, obudził współczucie wszystkich szlachetnych serc, ale w nieszczęsnym kraju, zalanym ogniem i krwią, płakano go jak ojca lub syna. Legendy osnuły jego postać. I jak niegdyś bohaterski jego pradziad, Tomasz earl of Kildare, długo żył w pamięci ludu, obiewany przez bardów, tak i o Edwardzie brzmiały pieśni, układane na wzór trenów starożytnej Judei:

Patrzcie, jak padł, pojmany zdradą, niezwykłego lord, obfitą strugą płynie krew z głębokich jego ran.

W rodzinną ziemię wsiąka krew, mściciela napróżno woła.

Waleczny był i pełen cnót, kiedyż powstanie drugi, coby mu zrównać mógł?

Płacze Edwarda żałobny Eryn, długo nie oschną łzy, i echa gór powtarzać będą boleści jego głos.“

Śpiewać będą tę pieśń stare dziady, do osjanicznych bardów podobne, na wieczornicach wiejskich, przy ogniskach ukrytych w leśnej głuszy obozów powstańczych. Wizerunek bohatera zawiśnie w niejednej słomą krytej chłopskiej chacie, a obok niego podobizna pięknej jego żony, tak, jak ją przedstawił w fantazyjnym rysunku nieznaną artystą. Pamela The Beautiful siedzi, czarnym okryta welonem, tuląc gromadkę sierot do łona jak symbol żałobnej i wdowiej Irlandji.

(c. d. n)



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU.



PRZYKŁAD DO NAŚLADOWANIA.

Modystki angielskie wspólnie z krawcami i fabrykantami materiałów włóknistych postanowiły zwalczyć kokurencję firm paryskich, narzucających Anglii (tak samo zresztą, jak i całemu cywilizowanemu światu) swą hegemonję w dziedzinie mody.

W tym celu utworzony został w Londynie związek, w skład którego weszły najpoważniejsze firmy krawieckie, modniarskie, oraz 12 wielkich fabryk wyrobów włókienniczych. Związek ten rozpoczął swą działalność od zakupu na olbrzymiego gmachu w centrum Londynu i założenia tam prawdziwej centrali artykułów mody. Można tam kupić wszystko, co służy do ubrania — począwszy od bucików i pończoszek, a skończywszy na kapeluszach, woreczkach i różnych akcesoriach modnej toalety. Wszystkie te artykuły posiadają jednak tę wartość, że są wykonywane wyłącznie z materiałów krajowych i przez siły fachowe w kraju. Ani jeden ścieg, ani jeden guziczek, nie pochodzi z poza granic Anglii, a co najważniejsze — wszystkie wzory i modele są również projektowane w kraju przez najwybitniejszych artystów-rysowników.

Równocześnie z zapoczątkowaniem tego na olbrzymią miarę zakrojonego przedsięwzięcia, współwłaściciele jego rozpoczęli usilną propagandę prasową, zachęcając kobiety angielskie do popierania wyrobów krajowych i podkreślając, że jedynie talent rodzimego artysty uchwycić potrafi linję i wdzięk właściwy Angielce, i zastosuje model ubrania do jej typu — podczas gdy kreacje toaletowe, projektowane w Paryżu, są wytworem psychiki i smaku francuskiego i jako takie, nie odpowiadają wcale typowi wytwornej Angielki.

„Nie zapominajmy przytem” — głosi rozpowszechniana wszędzie odezwa „że towary nasze uznane są na całym świecie za najlepsze, a tylko we własnym kraju nie mają poparcia. Do niedawna jeszcze każdy „pokupny” przedmiot nosić musiał markę „Made in Germany” lub też „in France”. Teraz jednak wiemy, że były to nasze własne, krajowe wyroby, które musiały po-

wędrować zagranicę i tam przybrać stempel cudzoziemski, aby, powróciwszy, znaleźć chętnych nabywców!”

HISTORIA PRAWDZIWIE AMERYKANSKA

Według doniesień pism amerykańskich, sala sądowa w Chicago była niedawno terenem rozprawy zaiste niezwyklej, nawet na stosunki tamtejsze.

W charakterze oskarżonego występował w tym procesie pewien młody ziemianin ze stanu Oregon, nazwiskiem Clint Money, oskarżycielką — młodą i przystojną panną. Powodem zaś całej rozprawy był... żart, na który pozwolił sobie ów młodzieniec, a to w okolicznościach następujących:

Posiadając usposobienie wesołe i skłonność do robienia bliźnim swoim t. zw. „kawałów”, pan Clint Money wyczytał raz w dziennikach historię, która w wyjątkowy sposób zafrapowała jego wyobraźnię. Bohaterką tej historii była pewna młoda panienka, piękna, cnotliwa, lecz uboga, i wskutek tego defektu nie mogła natrafić na kandydata do stanu małżeńskiego. Założenie własnego domu rodzinnego nie przestawało jednak być celem marzeń młodej osóbkę, to też wpadła ona na pomysł, który, jak się okazało, wydał pożądaną rezultaty. Postanowiła ona mianowicie powierzyć swoje losy i spełnienie swych pragnień — butelce. Słyszała bowiem, iż załoga tonącego statku przyzywa w ten sposób inne okręty na pomoc i pomyślała sobie, że możnaby spróbować tej samej drogi. Włożyła więc do pustej butelki, swoją fotografię z listem, w którym oświadczyła swą gotowość do wstąpienia w związki małżeńskie, podała dokładny swój adres i, zakorkowawszy szczelnie butelkę, rzuciła ją w fale morskie.

Skutek był nadspodziewanie szybki i — pomyślny. W kilka tygodni za ledwie po wysłaniu tego oryginalnego listu, został on wyłowiony z morza przez jednego z marynarzy dużego parowca. Cała załoga okrętu wpadła w zachwyt na widok fotografii (marynarze są podobno bardzo czuli na wdzięki niewieście!) i oto pomysłowa panienka otrzymała odrazu coś około tuzina listownych propozycji małżeńskich, z dołączeniem dokładnego życiorysu, fotografii etc. Wybrała sobie z pośród tych kandydatów tego, który jej przypadł najbardziej do gustu, a był nim sam kapitan okrętu! poczem ślub odbył się w terminie możliwie najszybszym.

Tę oto przygodę postanowił sobie pan Money zużytkować dla żartu, który jednakże zakończył się nadspodziewanie poważnie. Pomysł butelki był już oklepany, trzeba było wymyśleć coś innego. Napisał więc cztery liściki tej treści: „Jestem młody (mam lat 27), zamożny, niezależny i powierchowość moja — zdaniem mego otoczenia — nie ma w sobie nic, co by wywierało nie mile wrażenie. Pragnę się ożenić z panną, która otrzyma ten list. Adres mój i nazwisko brzmi, etc.”

List ten przywiązał do szyi gołębia pocztowego i wysłał w świat, a potem w wesołym gronie kolegów cieszył się na myśl, jakie wrażenie wywrze ten list na kimś, kto go przeczyta.

Okazało się jednak, że „kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada”. W parę dni potem zjawiała się w jego domu młoda panna, która oświadczyła, iż ona to właśnie odebrała jego list i jest gotową do zawarcia z nim bliższej znajomości celem ewentualnego późniejszego małżeństwa. Młody człowiek usiłował wytłumaczyć jej, że był to tylko żart z jego strony. Ale panna widocznie nie uznawała takich żartów, obraziła się bowiem i podała go do sądu „za niedotrzymanie obietnicy małżeństwa”. Jako odszkodowanie za poniesioną przykrość zażądała „skromnej” sumy 20.000 dolarów!

Oczywiście Clint Money odmówił wypłaty tej sumy i sprawa poszła do sądu. Sędzia znalazł się w nieładzie kłopotcie i usiłował wycofać się zręcznie z zawiłej sytuacji, namawiając obie strony do pogodzenia się i zaniechania pretensyj. Tymczasem jednak stała się rzecz nieoczekiwana. Oto młody człowiek, przypatrzwszy się zbliska swej przeciwniczce i zauważywszy jej urodę oraz niezwykłą energję, pewność siebie i wymowność, z jaką broniła swej sprawy, uznał, że właśnie tego rodzaju typ niewiasty mógłby mu się podobać. Oświadczył zatem zdumionej oskarżycielce, że gotów jest z nią natychmiast się ożenić, koszty procesu zaś poniesie sam, jako karę za to, że wogóle do tego procesu dopuścił.

WYPRAWA PO SKARBY

Pisma amerykańskie przynoszą wiadomość o sensacyjnej wyprawie w góry peruwiańskie, organizowanej przez panią Fanny Bandelier, wdowę po wybitnym uczonym amerykańskim, profesorze archeologii. Uczony ten prowadził przez czas dłuższy badania nad kulturą starożytnych Inków, przyczem oparowało go pragnienie rozwiązania jednej z ciekawszych zagadek, jaka

dręczy dotychczas świat naukowy—mianowicie dotarcia do owego legendarnego miasta, ukrytego gdzieś w niedostępnych dla nikogo, prócz wtajemniczonych, zakątkach gór peruwiańskich—miasta, w którym przechowywać się mają wszystkie pozostałości wysokiej niegdyś cywilizacji Inkasów, a w podziemiach skalnych, zażdośnie strzeżone, znajdują się skarby królewskie Azteków!

Pragnieniem tem podzielił się ze swą żoną — i oboje udali się na niebezpieczną wyprawę, usiłując przedrzeć się przez nieprzebyte lasy i skaliste wąwozy, w poszukiwaniu tajemniczego miasta. Wyprawa jednakże nie powiodła się, gdyż ludność, zamieszkująca góry, przyjęła „białych” tak nieżyczliwie, iż trzeba było cofnąć się ze względu na niebezpieczeństwo życia.

Pan Bandelier nie tracił jednak nadziei i przygotowywał się do następnej wyprawy, usilnie starając się wejść w bliższe stosunki z tubylcami i zjednać sobie ich zaufanie. Niestety, śmierć, która zaskoczyła dzielnego uczonego na stanowisku, w pełni sił i pracy, nie pozwoliła mu dokończyć zamierzonego dzieła.

Dzieło to jednak podjęła po jego śmierci żona—stała, niestrudzona towarzyszką jego pracy. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, udało się pani Bandelier zawrzeć znajomość z pewnym metyssem, pochodzącym podobno z królewskiego rodu Azteków. Człowiek ten, w dowód wdzięczności za pewną przysługę, jaką mu kiedyś wyświadczyła pani Bandelier, ofiarował się zaprowadzić ją do tajemniczego miasta i wskazać miejsce, gdzie są ukryte skarby jego królewskich przodków.

Pani Bandelier wyrusza na wyprawę po skarby Inkasów, i żywi głęboką nadzieję, że tym razem wyprawa ta będzie pomyślna. Obyż tylko ów potomek królewskiego rodu nie okazał się zwykłym oszustem, spekulującym na łatwości „białych”, a skarby Inkasów nie pozostały i nadal tylko poetyczną legendą.

WIENKI ŻYJĄ DŁUŻEJ, NIŻ WIENIŃCZYCY

Statystyka długoletności mieszkańców miasta Wiednia wykazuje, że w mieście tem zamieszkuje 4,800 osób, które przekroczyły 80-ty rok życia.

Znaczną większość, bo 3.513 osób, stanowią kobiety, mężczyźni zaś jest tylko 1364. Dowodzi to, że kobiety żyją dłużej, niż mężczyźni,

co można przypisać naogół bardziej higienicznemu trybowi życia, nie-
używaniu napojów alkoholowych, narkotyków etc.

UNIwersytet dla Murzynek

Pisma amerykańskie podają wiadomość o utworzeniu w jednym z południowych miast Stanów Zjednoczonych Ameryki uniwersytetu, przeznaczonego wyłącznie dla kobiet, i to Murzynek! Ma to być rodzaj protestu przeciwko bojkotowi „czarnych”, stosowanemu żywiołowo przez „białych” mieszkańców południowych Stanów w Ameryce.

Kandydatek do nauki zgłosiło się dużo i znaczna większość z pośród nich zapisała się na wydział lekarski. Na profesorów jednak musiano narazie zaprosić... białych uczonych, gdyż wśród Murzynów brak było ludzi z odpowiednimi kwalifikacjami.

Z. B.

WALKA Z GROŻNEM WIDMEM GRUŻLICY

Staraniem Tow. Rodziny Wojskowej odhły się odczył Dr. Rudzkiego i Dr. Śliwińskiego o szczepieniu ochronnem niemowląt przeciw gruźlicy. Sala kasyna szkoły podchorążych była doszczętnie wypełniona przedstawicielami świata lekarskiego, oraz członkiniami Rodziny Wojskowej.

Dr. Śliwiński starał się przedstawić słuchaczom grozę szerzącej się w naszym społeczeństwie gruźlicy, która zbiera plony zarówno wśród dzieci, jak i wśród dorosłych. Podług danych statystycznych gruźlica jest największą plagą ludzkości, gdyż zarazek jej znajduje się w kurzu, a zatem wszędzie, gdzie tylko kurz dociera — unosząc się z wysychających płwocin ludzi chorych na gruźlicę, a ponieważ nie są oni

izolowani od reszty zdrowych osobników — jak inne choroby zakaźne — przeto i zakażenie się jest daleko łatwiejsze. Toteż stosunkowo niewielki tylko odsetek ludności polskiej jest niezakażony gruźlicą, 90% przechorowało lub choruje na gruźlicę. Uzasadniając swój pogląd wykresem, dr. Śliwiński dzieli gruźlicę na 2 jakgdyby kategorie.

1) gruźlica czynna wieku dziecięcego,

2) gruźlica bierna wieku dojrzałego.

Faktem jest, że gruźlica największą śmiertelność daje do lat 2 a od tego wieku śmiertelność na gruźlicę zaczyna się stopniowo zmniejszać. — Wiek dojrzałym staje się ona jakgdyby towarzyszką bardziej na nią już odpornego organizmu i stosunkowo mniejszy obsetek umiera wyłącznie na gruźlicę.

Następnie prelegent podkreślił, iż przeważająca ilość zakażeń bo 80% dzieci — odbywa się w niemowlęctwie jeszcze, dzięki choremu otoczeniu, a głównie dzięki chorej na gruźlicę matce — natomiast gdy dzieci chorych na gruźlicę matek, wychowują się w zdrowym otoczeniu — zakażeniu gruźliczemu podpadają zaledwie w 7% wypadkach.

Gruźlica nie jest chorobą, którą się dziedziczy po rodzicach — Jedynie w kilku wypadkach zdołano zaobserwować zmiany gruźlicze u nowonarodzonych dzieci. — Można od rodziców gruźliczych odziedziczyć jedynie słabszy i mniej odporny na zakażenie gruźlicze organizm. Potem przemawiał Dr. Rudzki — podnosząc ogromne znaczenie społeczne walki z gruźlicą. — Jeśli tak nadal biernie poddawać się jej będziemy, to wkrótce cała ludność na kontynencie europejskim będzie jednym wielkim gruźlikiem.

Zaciętą walkę trzeba rozpocząć na wielką skalę, lecz nie tylko lecząc ludzi chorych na gruźlicę — gdyż tu często lekarz staje wobec problemów nie do rozwiązania. Leczyć gruźlicę, to znaczy wzmocnić siły i odporność chorego ustroju, a więc dać dobre odżywianie, świeże powietrze, przestronne mieszkanie, słowem to, co w przeważającej większości wypadków szczególnie w miastach, ze względu na warunki ekonomiczne, jest najczęściej niemożliwe — to też ręce opadają lekarzowi bezsilnie, gdy rzeczy te stają się przeszkodą nie do przezwyciężenia, gdy niema nad chorym takim opieki społecznej, by mu te niezbędne warunki powrotu do zdrowia udostępnić.

Walke pragniemy rozpocząć z innego końca, a więc broniąc ustrój młodociany przed zakażeniem, przy pomocy szczepienia



ochronnego, jak to już jest stosowane przeciw ospie, tyfusowi i płonicy ze znakomitą wprost wynikami.

Walkę tę podjęły i inne narody, a na ich czele Francja, gdzie gruźlica również dziesiątkuje ludność...

Profesor Calmet od 13 lat pracuje nad wyhodowaniem szczepu laseczników, tak bardzo osłabionego w swej zjadliwości, iżby wprowadzenie go do ustroju nie wywoływało zbyt silnej reakcji.

To też 230 szczep dopiero dał 500 szczepin na cieleciach bez zachorzeć z ich strony.

Zrobiono wówczas próby na małpach i stwierdzono, iż zamknięte w jednej klatce z chorą na gruźlicę małpą — dwie zdrowe, z których jedna była szczepioną przeciw gruźlicy, a druga nie — zachorowała tylko nieszczepiona. Dało to poniekąd prawo spróbowania szczepień ochronnych i na ludziach i w roku 1922 prof. Calmet po raz pierwszy szczepił niemowlętom zaraz po urodzeniu t. j. do 10 dnia życia, gdyż jedynie w tym wieku można być pewnym, iż dziecko zdrowej matki nie uległo jeszcze zakażeniu.

Szczepienie odbywa się drogą niebolesną — przez usta — podając w ciągu 3 dni — czyli 2—4—6 dnia życia lub 3—5—7 na $\frac{1}{2}$ godziny przed jedzeniem łyżeczkę tej szczepionki, która składa się z 1 ctm. zawiesiny — laseczników i 2 ctm. glukozy z gliceryną. Nie wywołuje to u niemowlęcia żadnego odczynu w postaci ani podniesionej temperatury, ani zaburzeń przewodu pokarmowego — jest więc doskonale znoszone przez dzieci.

Szczepienie to, trzeba powtarzać co roku, gdyż co do trwałości niweczników w ustroju niema jeszcze dostatecznego doświadczenia.

Mając w stałej kontroli dzieci, szczepione przeciw gruźlicy, prof. Calmet stwierdził, iż dzieci te stokrót mniej zapadają i na inne choroby zakaźne, a śmiertelność wśród nich zmniejszyła się prawie do zera — w ostatnim roku przeprowadzono we Francji przeszło 2000 takich szczepień.

Co do szczepienia ludzi dorosłych lub dzieci w wieku szkolnym, to silna reakcja gorączkowa i zastrzeżenie się procesu chorobowe-

go przy takim szczepieniu u ludzi, którzy kiedykolwiek ulegli zakażeniu gruźliczemu — powstrzymuje prof. Calmet'a od prób w tym kierunku.

Po odczycie wywiązała się żywa wymiana zdań między prelegentem i słuchaczami i szereg zapytań wyświetlił nam sprawę tak bardzo niecierpiącą zwłoki.

Prof. Calmet udzielił Dr. Feignównie dla Zakładu Państwowego Instytutu Higieny — szczepu, wyhodowanego przez siebie lasecznika, a rozmnożony tu w Zakładzie może on być każdorazowo świeżo przygotowany, gdyż szczepionka ta, zdatna do użytku jest tylko w przeciągu dni dziesięciu.

Zważywszy więc doniosłość tej sprawy Dr. Rudzki i Dr. Śliwiński rozpoczął szczepienie ochronne od dnia 1 października r. b. na oddziale położniczym Szpit. Ujazdowskiego, mając już nadal w swej kontroli dzieci, przez siebie zaszczipione. Pożądaniem byłoby, by klinika położnicza oraz inne szpitale i domy położnicze poszły za jego przykładem — pomnażając dorobek tego wielkiego doświadczenia, a jednocześnie, kto wie, może chroniąc całe społeczeństwo od dręczącej nas strasznej plagi. H. H.

KARTKI Z ŻYCIA

PLOTKA

Jest wszędzie. Wszystkimi porami wciska się w życie. Straszy i zdumiewa; oburza i śmieszy. Wstrząsa i olśniewa. Szarpie, kąsa, czepia się jadem lepkich macek, wbija żądła zatrute, lecz nigdy nie wyleczy ran zadanych. Nigdy nie pożałuje ofiary szalu swego.

Rodzi się w ponurych złożach zemsty, w grzechu zawistnego współzawodnictwa, w sadystycznym cynizmie szantażu, w manji pomniejszania uznanych wielkości, w nieokiełznanej furji plucia na wszystko i zarażania złą śliną powietrza, — w makabrycznym plisie dokoła najprostszej i najdziwniejszej zjawy życia.

Rodzi się czasami z głupoty, a czasami z nieporozumienia. Rodzi się z konceptu, i — zatoczywszy elipsę własnej orbity — wraca, skąd wyszła do tego, kto ją rzucił

*) „Gentowszczyzna,“ Wspomnienia z rebeliei ukraińskiej w Małopolsce Wschodniej przez Marję Jehanne Wielopolską (Janowską). Poznań, 1925 r.

Są plotki tragiczne, są wesołe. Jeden i drugi rodzaj druzgocze, jeżeli pocisk trafia w słabe, bierne jednostki, które nie umieją podjąć walki z oszczerstwem, lub też — lenią się w defetystycznym „co mi tam?...“

Bywają plotki, zrodzone z podejrzliwości, a które trafiają w tarczę nieszczęścia samego.

Nic ich nie odeprze, bo nieszczęście nie umie się bronić, bo jest jak dąb lub wiotka brzoza, huraganem przytłoczona do ziemi na zawsze.

* * *

Plotka, z mętnych zakamarków niewiadomej złośliwości zrodzona, czy z żalu, który nie miał ujęcia, czy z chęci obciążenia własną winą człowieka niewinnego, — osnuła się przed laty dokoła nazwiska jednej z najwybitniejszych autorek polskich. Nurtowała w podziemiach zjadliwości ludzkiej, przewalała się cichaczem to tu, to tam, spływała korytem wód zaskórnych, do jakiegoś ciemnego basenu, z którego wytryskiwały czasami małe, przyczajone strumyki, ginąc bezporadnie w niewiadomych czeluściach.

Aż naraz porwał się ni stąd, ni zowąd huragan, zerwał skorupę przyziemną, zmącił wody zaskórne i rzucił je na powierzchnię.

Pomknęła plotka, znieważając cześć i dobre imię kobiety, oszalała z rozpacz, zdumiona w gorzkiej niewiedzy, czemu ją szarpie i za jakie przewiny? — Kto młota pociski? — Z czyich rąk padł pierwszy? — Gdzie ostatnia ich meta? — Jak je odprowadzić? Jaką tarczę przeciw nim nastawić?

Walka zapowiadała się ciężka. Jak sztygar, ze słabą lampką na czole trzeba było spuścić się w podziemia, dotrzeć do źródeł zatrutych i zdusić raz na zawsze jady potworne.

Nie ulękła się zadania młoda, dzielna kobieta, która chciała mieć imię czyste i honor ocalony. Nie pożałowała trudu przekopywania się przez najmroczniejsze legowiska i zaułki potwarzy. Jedynym światłem, jakie ją prowadziło, była świadomość własnej bezwiny. Jedyną pomocą — dobra wola ludzi, którzy w nią wierzyli.

Zebrała w obronie swej dokumenty, akty, podpisy, twardą mocą uzasadnionych argumentów, przemawiające w obronie jej czci. Murem stanęła za nią, rzeczywistość, zeznaniami prawych, zasłużonych obywateli stwierdzona.

Wydała w książce i w świat rzuciła te głosy prawdy.*)
ot, tak sobie... dla zabawy, dla dania ujęcia porywom fantazji.



Nikt odtąd nie poważy się szarpać jej dobrej sławy. Nikt z imieniem jej nie łączy pojęcia zdrady towarzysza więziennego. Przycichły złe języki. Wyschły jady żądeł kaśliwych. Nad złośliwością ludzką zatriumfował czyn samobrony.

Tak tylko może opanować dzikie morza plotki twarzą wola i harda moc w przeprowadzeniu walki.

* * *

Są plotki, które pastwią się nad bezbronnymi. Łada pozor wyciąga je z czołuski podejrzeń, rzuca na mózgi ugorne i gna w świat — byle prędzej, chętniej — po kawalersku — z pewną siebie brawurą.

Mniejsza o to, w co trafia? W przesłrzenie beznadziei, która ich nie odrzuci, czy w puklerz śpiżowy, który może odbić je z hasłem. Aby wypełnić z mrocznych pieczar i nieść się, nieść na skrzydłach nietoperza, póki tchu starczy.

Taka jest potrzeba ludzkiego „przypuszczam...”, „sądzę...”, „ależ tak...”, „niewątpliwie...”

Taka jest potrzeba jadu, który nartuje docieklność band próżniaczych, czepiających się z nudy obcych sobie wydarzeń, faktów, katastrof życiowych, żeby oświetlać je na swój własny sposób.

* * *

Mamy świeżo w pamięci straszną tatrzańską tragedję. Trzy trupy mężczyzn i cudem ocalona jedna kobieta — żona i matka porażonych udarem serca męża i syna.

A... ten trzeci?...

Nie miał serca tak słabego, jak tamci dwaj. Mógł być żyć, skoro ocalała kobieta. Mógł być przetrzymać górską zawieruchę. Więc — czemu znaleziono go martwego? — Jaką tajemnicę skryły w sobie niezgłębione Tatry?

Przypuszczeniom, domniemaniom, wnioskom nie było końca.

Ten — ze zdrowem względnie sercem — otruty został przypadkiem. Kochanek, któremu chciała podać wino krzepiące ocaloną kobietą, a przez pomyłkę wlała w usta napój, od którego zginęli tamci dwaj — mąż i syn — już niepotrzebni — dwa ciężary, dwie zawady wobec tego żywego...

To była najfundamentalniejsza, najruchliwsza, najlogiczniej umotywowana plotka.

Szalały inne jeszcze. Dwunastoletni chłopiec nie był synem ocalonej w śnieżnym pustkowiu kobiety. Przyjęła za swoje przedślubne czy poślubne dziecko męża z inną. Ale zniechędziła je i nie mogła zmóc dłuższej szalu tej nienawiści. Złe uczucia podszeptały jej: „otruij...” W górach. Właśnie w górach, które milczą. Zatrze się ślad — nie wróci.

Z synem musiał zginąć ojciec przed którym — w chwili słabości — mogłaby wyznać prawdę. Ten trzeci — może kochanek, a może — poddany wyrokowi razem z tamtymi jako niepotrzebny świadek.

Plotka rosła, mieniając się najmroczniej — szemi barwami ludzkiej podłości. Coraz coś przybywało. Coraz ktoś „ze wszechmiar wiarogodny” dorzucał to i owo.

Próżno tłumaczyli przyjaciele i znajomi spotwarzanej wówoy, że chłopiec podobny był do matki, jak dwie krople wody. Że trójka rodzinna żyła w największej zgodzie, harmonii i miłości. Że cienia podejrzenia nie było można rzucić na żadne z nich.

Głosy uderzały w pustkę. Nikt nie słuchał. Każdy coraz uparciej fantazjował na dany temat.

Pogrzebano martwe ciała. Minęły dnie, tygodnie. Osierocona wdowa i matka leży nieprzytomna pod troskliwą pieczą najbliższej — swojej własnej rodziny, znanej z szerokiej działalności społecznej, zacnej i szanowanej powszechnie.

Boją się dla niej obłędu te kochające, niecóż jej przybite kobiety — matka i siostry. Bo w jakimś przebolesnem zapamiętaniu powtarza ustawicznie straszne chwile ostatnie dwóch nad wszystko umiłowanych istot i — tego trzeciego widzianego po raz pierwszy w życiu tam, nad górską przepaścią.

Kończy mętnym urywanym głosem opis grozy i zaczyna go ponownie. Tak dniami, tygodniami.

Szarpię się dusza w niewypowiedzianej męce. Krwawi ciało, z przemarznięcia bezwładne, odpadające kawałkami od kości. Żaloba, rozpacz, klęska beznadziei tłucze się w duszy omroczonej.

A ponad tragedją bólu, sieroctwa, czarnej nocy wspomnień, ponad bezprzykładnym cierpieniem fizycznym uwija się majestat plotki.

Dziś zapomniana, jutro znowu pochwycona, przewala się. Biję o chciwe nowinek mózgi, żeby przykucnąć, przeczłapać, jak świerszcz w kominie, pod nawałą innych „sensacyj”, a nocą letnią — w rocznicę chwil okropnych, czy kiedyś przy innej pobudce — rozrykać się, rozszać, popędzić w ciążbę ludzką na nowo.

al.

pracy aktorkiej a talent mocny i zdrowy znalazł swój szlachetny wyraz. Tak właśnie było na przedstawieniu Henryka IV.

Od podniesienia kurtyny, aż do jej zapadnięcia, wśród natężonej uwagi, wśród ciszy, która zwykła zalegać tylko na rozkaz wielkich potęg twórczych, dokonywała się na widowni jakaś praca myślowa, jakiś wysiłek, jakieś pasowanie się ducha słuchacza z duchem utworu — to, co się zaiste tak rzadko zdarza między sceną i widownią i co jest miarą wartości mistrza i dzieła.

Szaleństwo jest tematem tragedji Pirandelli; szaleństwo prawdziwe, a potem udane, to które staje się wspaniałą, dumną, ale jakże bolesną ucieczką przed rzeczywistością.

Ze swojego ponurego zamku „Henryk IV” smutny obłąkaniec, patrzy na śmieszną zawilłość ludzkich spraw, na drobnutki truchcik, którym ucieka dzień za dniem, sprawa za sprawą — na powolne zamieranie młodości, wygasanie uczuć, spalanie się namiętności. On jest poza tem wszystkim, wyszedł z życia, stanął poza czasem, trwa w swoim obłąkaniu. Wie co go czeka jutro, pojutrze, za rok, wszystko, wszystko to już było, już zostało zanotowane w kronikach, już zapłonęło raz rumieńcem życia Henryka IV, toczącego walkę z Grzegorzem. Wszystko o co już było i oto teraz z jego woli szaleńca, ożyło raz jeszcze, aby w tej maskaradzie strojów i dusz ludzkich, raz jeszcze odegrała się komedja żywota cesarskiego.

Do samotni udanego szaleństwa od czasu do czasu wtargnie życie. Przychodzą ludzie zdrowi. Ludzie ze świata. Ale, by stanąć przed obliczem szaleńca muszą nagiąć się do jego woli, — muszą przywdziać maskaradowy strój ludzi z epoki Henryka IV — przychodzą zresztą z litości, tu szukają sposobu, by go uleczyć, by go ściągnąć z powrotem do życia.

Patrzą z lękiem, z ciekawością lub odrazą w jego twarz, ściągniętą bólem... w oczy zamarte w wizji obłąkańczej. Ale „szaleniec” nie wróci do nich, zdepcze miłość hrabiny Matyldy Spina, miłość ofiarowaną, jak resztki, podane na brudnym talerzu, resztki, tak bardzo łatwe do oddania, spadają przebijając wroga swego, człowieka, który mu ukradł szczęście, gradem pogardliwych słów obrzuci wykwintnego markiza Nolli, odrąci śmiesznie małą mądrość lekarza, który szukał sposobów na jego chorobę — a potem odwróci od nich twarz. Odwróci ją od rzeczywistości ku legendzie, od ludzi normalnych — ku szaleństwu. Wpatrzy się oczami rozwartemi nadmiernie w swoją samotność.

Zostaną tylko u stóp jego ludzie młodzi, którym płacono za to, że udawać mieli szaleństwo, a którzy pokochali obłąkańca i ponad życie ludzi normalnych, przenieśli pustelnię wielkiego samotnika.

Kazimierz Junosza Stępowski dał postać niezwyklej miary — wyszedł poza wszelki szablon — wczuł się w rolę i dotarł do jej głębi. Resztę zespołu ręką reżysera usunęła w głęboki cień.

p.

Z TEATRÓW



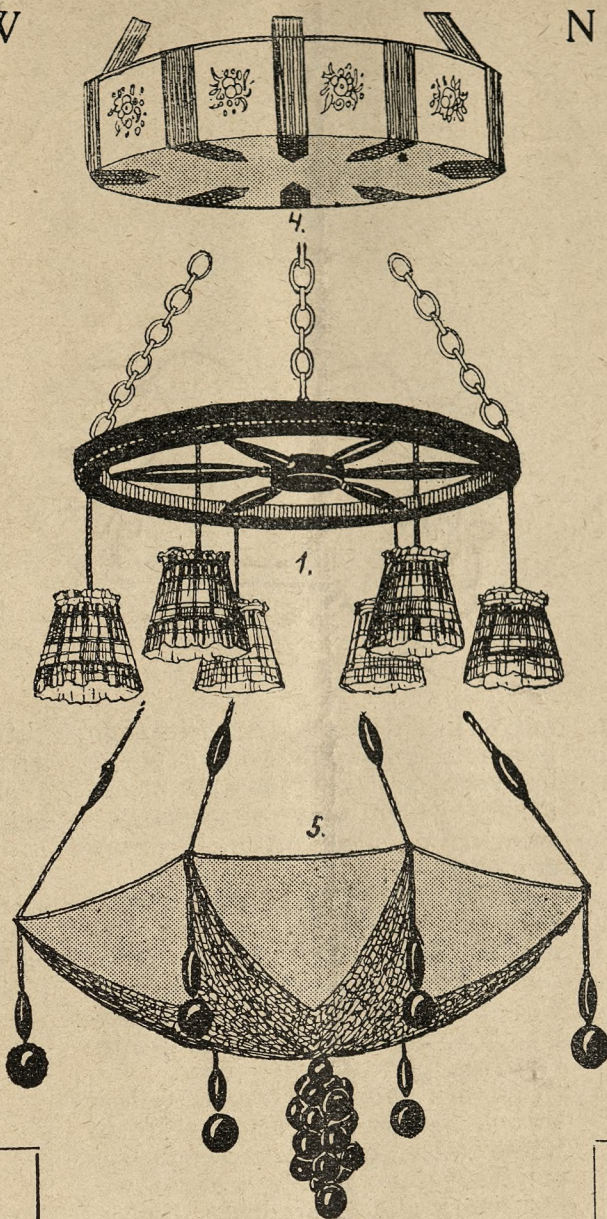
TEATR POLSKI

„Żywa maska” (Henryk IV) — Tragedja w 3-ach aktach Ludwika Pirandello. Reżyserja Aleksandra Węgielki. Dekoracje i kostiumy Karola Frycza.

Przez scenę teatru Polskiego wionął gorący płomień wielkiej twórczości poetyckiej, — wionął oddech potężnej wichury, która oczyszcza powietrze. W tym ogniu próbnym nabierał blasku rzetelny wysiłek

KILKA POMYSŁÓW

Ciągły kłopot o stworzenie sobie środowiska nie tylko miłego i ładnie umeblowanego, ale w najdrobniejszych szczegółach harmonijnie dobranego nie pozwala nam oszczędzać ani pracy, ani zachodów w tym kierunku. I tak nie zadowalniając się prostym oświetleniem mieszkania i odwiecznymi szklannymi kloszykami, staramy się lampy nasze ubierać w szaty nadające im wygląd eteryczny, ukrywający pod pozorami artystycznych cacek, codzienny ich użytek. Czyż nie dowcipnym i czarującym jest pomysł użycia kołka od kołowrotka z orzechowego lub wiśniowego drzewa — jako podstawy do zawieszenia lamp w jadalnym pokoju. Koło to powieszzone na trzech drewnianych łańcuchach naśladuje do złudzenia średniowieczne przyrządy, tylko że teraz lampki elektryczne, osłonięte abażurkami z jedwabiu żółtego w kratę, zastępują żółte, woskowe świece z przeszłości.



NA ABAŻURY

U spodu latarni zwiesza się okrągła frendzla z jedwabiu ponsowego lub z drobnych ponsowych i zielonych perełek.

W sypialnym pokoju, lub buduarze na miejscu będą załotne abażury Nr. 4 i 5. Są ładne, wesołe i można zastosować ich przybranie do kolorów pokoju. Nr. 4 zrobiony jest w formie bębna z białego papieru, podtrzymanego wstążkami, dostosowanymi cieniem do koloru pokoju. Między temi wstążkami umieszcza się bukiety kwiatów, ułożone z motywów, wycinanych z papieru, lub malowanych.

Nr. 5 przedstawia parasolkę, obciągniętą zieloną materją z narożnikami z lekko przymarszczonej złotej koronki.

Sznury złote z grubymi paciorkami szmaragdowymi tworzą wisiory naokoło tego odwróconego sklepienia. Grono zwieszające się u dołu zrobione jest z dużych zielonych pereł.



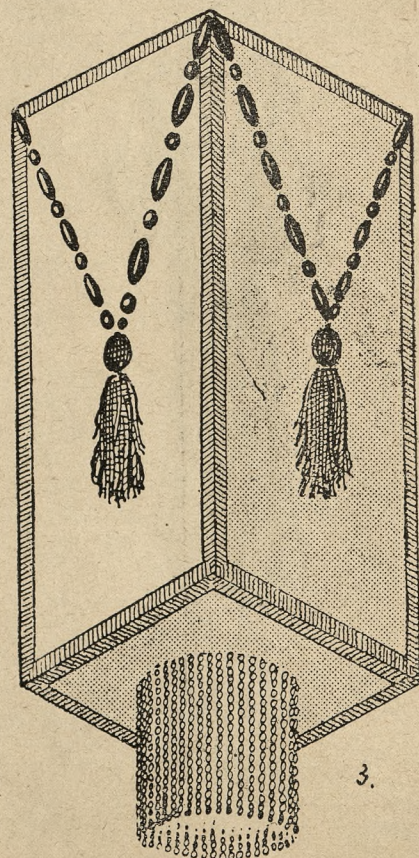
W przedpokoju, hallu lub korytarzu umocowane u sufitu na kolorowych sznurach lub drutach, latarnie Nr. 2 i 3 piękne robią wrażenie.

Latarnię Nr. 2 robi się na szkieletcie z drutu, obciągniętym materją gładką i wzorzystą, zakończoną u dołu frendzlą z jedwabiu lub drobnych paciorków.

Wzór Nr. 3 przedstawia dosyć dużą latarnię, umocowaną u sufitu tak krótko, że nie widać sznura na którym wisi.

Obciągnięta jest białym papierem. Kanty, oblepione zielonym papierem, lub materją.

Na bokach latarni zwieszają się sznury paciorków z drzewa, zielonych, rozmaitej wielkości, u dołu zakończone chwastami z ponsowego jedwabiu.



KAPRYSY

Kapryśną jest moda jesienna! Nie narzuciła nam wprawdzie kapelusza nowego kształtem i fasonem, a jednak, takie bogactwo wniosła barw, taki przepych pomysłów i finezję szczegółów, że zastąpią one i wynagrodzą brak wyglądanej niecierpliwie nowości.

Filc gładki i włochaty, pilśń w najrozmaitszych kolorach i władczy w każdej dziedzinie mody — aksamit.

Kombinacja ze sznelki, skóry złotej, inkrustacje ze skóry na aksamicie i z aksamitu na skórze, łączenie dwóch odrębnych materiałów jednego koloru, lub materiału jednolitego w dwóch odrębnych barwach, desenie, rysowane złotą nitką na tle ciemnego aksamitu, rajery i crosse'y, obowiązkowo przypięte ku dołowi, przy kapeluszach mniej strojnych, pęki różnobarwnych sztylcików, robiące wrażenie tęczywch pukli wstążek, całe kapelusze, misternie tkane z piór bażancich lub perliczych, a wśród tego przewijający się aksamit gładki, aksamit tłoczony, aksa-



mit w kwiaty, koloru szkarłatnego, bordeaux, koloru drzewa różanego, lipowego, koloru „głowy Murzyna” i całej gamy barw wyszukanych, znanych i nieznanych, — barw modnych.

Kołnierze palt naszych bogate i wysoko z tyłu wzniesione, wymagają specjalnych form ronda, to też niejednokrotnie spotykamy piękne modele, ściśle do szyi przylegające, lub z wybitnie odwiniętymi rondami na tyle głowy.

Jedną z najmodniejszych w tym sezonie fantazji, której przystosowanie sięga od spacerowego kapelusza, aż po suknię wieczorową, jest skóra złota i srebrna. Spotykamy ją zarówno przy kostjumie, jak sukni wizytowej i wieczorowej. Inkrustujemy nią szlaki na sukniach, nakładamy kołnierzyki, tłoczmy kwiaty, figury geometryczne, dziwaczne w kształcie i linii arabeski, i nosimy narówni prawie z futrami, które używane są nawet do przybierania kapeluszy.

Futra stanowią dzisiaj podstawę i płaszczy i sukien. Nie spotykamy prawie sukien, na tło których nie rzuconoby ozdoby z futra. W pierwszym rzędzie używane są muflony o włosie prostym, sztucznie rozfryzowanym. Jedną z ulubionych kombinacji tej zimy, będzie aksamit koloru drzewa różanego, okładany muflonami beige, lub też aksamit koloru musztardy, przybierany rysiami.

Widuje się też dużo modeli czarnych, aksamitnych, okładanych gro-nostajami, lub imitacją, wykonaną z królików białych.

Nowością, jaką przynosi nam moda jesienna, jest — mankiet. Mankiet futrzany u palt ma kształt nowy, wyszukany i strojny, wysuwa

I NAKAZY

się na pierwszy plan, rzucając przed oczy ciekawą pomysłowość, jaką go powołała do życia.

Paryż lubuje się, tworząc modele, w coraz nowych mankietach futrzanych!

Widzimy palt, których rękawy toną w, rost w futrze, zaczynającym się przy dłoni, a kończącym powyżej łokcia.

Efektownie wygląda rękaw płaszcza, bardzo szeroki, bogato futrem obłożony i zleka przy ręce rozcięty, lub też kombinowany z pasów futra i materiału.

W okryciach jak i w sukniach linią dominującą jest kłosz. Płaszcz dołem bardzo szeroki, zazwyczaj kłosz futrem osyty, lub też pas futrzany, wijący się jednolitą wstęgą u szyi, przez całą długość przodu i szerokość dołu, do tego fantazyjne mankiety i kapelusz z aksamitu w kolorze palt lub sukni. Nową i wesołą oryginalną nutę wprowadzają modne kombinacje z różnych futer, które miesza się ze sobą, wywołując ciekawe efekty. I tak: połączenie strzyżonych ba-





Kapelusik, kołnierz u sportowego żakietu, żakiet, mankiety i mufka, a wszystko misternie z piór wykonane.

Podobno, po bażancie, pierwsze miejsce zająć ma perliczka, której pióra łączyć będziemy z kolorami: szarym, mauve lavende i lila, tworząc z nich riusze przy tiunikach, nieodzowne mankieci, kołnierze i kapelusze.

Zmiana linii sukien, które będą dyskretnie zarysowywały kształty, wymaga ujęcia takowych w kluby, to też tak długo zaniedbywany gorset, wraca na listę wskazanych konieczności.

Jest on jednak zmodernizowany tak bardzo i tak niepodobny do dawnego narzędzia tortur, jakimi były „sznurówki“ z przed lat dziesiątków, że właściwiej nazwać go paskiem, niż gorsetem, służy jedynie do ujęcia w uścisk pieściwy, a miękkiej, linii kobiecego ciała, nigdy do krępowania go, ściskania i nadawania mu wymuszonych, a nie-naturalnych kształtów,

Bielizna, jak w dobie ostatniej, tak i dzisiaj, zredukowana jest do minimum. Miniaturowe cacka, dotąd mereżkowane i dyskretnie ręcznym haftem przyozdobione,



na kolory brązowy, biały, czarny, popielaty.

Ślicznie wyglądają przy ciemnym, wspaniałym kołnierzu fu trzanym odwinęte klapy palta, które uwidaczniają bogactwo, a barwnie, w dziwaczne figury kreśloną, podszewkę.

Zanim nastaną chłody ostre i przenikliwe, które berło pierwszeństwa futrom oddając, skreślą z listy przykazań chwili wszelkie fantazje, lubować się będziemy nowymi, a pełnymi lekkości i wdzięku kreacjami z piór.

Widziałam ranków z futrami, foki z kretami i szenszylami, gronostaje z lamą lub brokatem, króliki wyprawiane, garnitur, wykonany całkowicie z piór bażancich, śliczny i efektowny nad wyraz.



będą teraz chętnie rozszywane pajęczymi koronkami, a neglitz skłania się ku formom czysto kobiecym, usuwając w cień zaborczą pyjamę, z której kształtów wyeliminowano prawie doszczętnie pierwiastek męski.

Bluzka, bardzo długa, przeżyła się już ostatecznie, natomiast żaboty, kołnierzyki i strojne mankieci, nleżyłoby przetrwały, ale w dalszym ciągu berło pierwszeństwa zatrzymały przy sobie.

Zwiewność i śliczna, elegancka śnieżność lekkiego, wykuintnego żabotu, stosowana jest nawet przy sukniach aksamitnych, na których ciemne tło rzucamy je, jako jedyną ozdobę.

W. D.



W Y Ś C I G I J E S I E N N E

Wyścigi jesienne zaczęły się pod znakiem słoty. Tylko nieliczni zwolennicy totalizatora, z parasolami i w zapiętych pod szyję, gumowych paltach, podążyli na plac wyścigowy. Odkąd pogoda się ustaliła pełno na wyścigach eleganckich kobiet, jesienne słońce złoci ich, opalone podczas pobytu nad morzem lub w górach, twarzyczki. Choć pogodę mamy niemal wiosenną, jednak sylwetka wytwornej kobiety jesienią jest zasadniczo inną niż na wiosnę. Dominują barwy ciemne, przede wszystkim wszelkie odcienie brunatnego, harmonizujące pięknie z tłem jesiennego pejzażu. Kapeluszy sporo filcowych, ale przede wszystkim aksamitne, olbrzymie, odwinięte z boku lub przodu, średnie i malutkie. W tym roku nie będziemy się uskarżać na monotonna modę. Każda z pań będzie mogła sobie dobrać kapelusz do twarzy, nie bojąc się narazić na zarzut „niemodności”. Przy okryciach, żakietach długich i krótkich—futro, przy kołnierzu, mankietach, w dole, gdzie się tylko da. Wiele pań przypina do wiosennej, angielskiego płaszczyka futrzany kołnierzyk, aby choć w ten sposób zaznaczyć zmianę sezonu. Bardzo

ładnie wyglądają kostjумы z kłoszowymi bokami, obszytymi futrem. Długi żakiet może służyć za płaszcz do innych sukienek niż kostjумowa.

Bogata paryżanka ma podobno odpowiednie okrycie do każdej sukni, ale w naszym, ubogim kraju zwykłe śmiertelniczki doprawdy nie mogą sobie na to pozwolić.

Z materiałów w dalszym ciągu noszoną jest kasha, ale prawdziwą nowość sezonu stanowią aksamity i welwety, do niedawna tak zaniebane. W takim palcie z czarnego aksamitu, obłożonym srebrnymi lisami, widuję często na wyścigach panią Pichor-Sliwicką. Zawsze elegancko i dystyngowanie wyglądają żakieciki z kretów, noszone do ciemnej, karbowanej spódniczki.

Bardzo modne są aplikacje z różnokolorowej i metalicznej skóry. Wygląda to ładnie tylko wtedy, jeżeli deseń jest bardzo drobny i bardzo skomplikowany. Grubo naszyte, wielkie plastry złotej lub srebrnej skóry przedstawiają się bardzo ordynarnie.

Sportowy typ obuwia na niskim obcasie i z szerokimi nosami spotyka się coraz rzadziej. Zwyciężyły leciutkie pantofelki, na lekkich i wy-

sokich, francuskich obcasikach i ze śpiczastymi końcami. Bardzo modne jest obuwie z giemy koloru śmietanki i dobrane pończoszki. Ogromnie to ładne i niezmiernie niepraktyczne. Z kolorowych lakierów najładniej wyglądają lakierki brązowe, lakierki mieniające się, tęczowe, dziwnie przypominają zaschłą plamę fioletowego atramentu. Cieliste pończoszki do ciemnych pantofelków nie straciły prawa obywatelstwa, ale w lepszym guście jest pończoszka dobrana do koloru obuwia lub do koloru sukni. Obuwia zamszowego prawie się nie spotyka.

Na zakończenie muszę ci, Czytelniczko, opisać prześliczny jesienny kostjум, który zwrócił na wyścigach moją uwagę, z ciemno brązowego zamszu z żakiem odsłaniającym jakieś piętnaście centymetrów wąskiej sukni.

Gładki żakiet obłożony dość szeroko bibretami, których kolor był identyczny z kolorem materiału. Nad futrem wyhaftowany, szeroki szlak z liści kasztanów, cieniowany barwami od brunatnej do piaskowej. Pomysł nie banalny i śmiały, a zarazem wysoce smaczny i dystyngowany. W. L.

MODA A POLITYKA W EPOCE EMPIRE'U

Śmierć harcapa. Za perukę na szafot. Zaniebanie w ubiorze znamieniem liberalizmu. Les muscadins, les incroyables i jakobiri. Czarne i czerwone kołnierze. Nienawiść cara Pawła do okrągłych kapeluszy. Aresztanci, ubrani według ostatniej mody.

Zmiana uczesań mężczyzn szła równoległe z politycznymi wypadkami. Włosy, które jeszcze w 1789 r. wiły się naokoło męskiej głowy w tysiącnych kędziorach, spadają swobodnie w r. 1791, sięgając aż do kołnierza, przyczem czasem jeszcze splecione są w harcap lub ujęte w angielski pokrowiec.

Jean Paul, który przez obcięcie własnego warkocza wywołał na dworze wejmarskim niemiłe zdziwienie, chciał je naprawić, obdarzając jeszcze w 1800 r. bohaterów swego Tytana sztucznymi harcapami. W północnych Włoszech młodzieńcy arystokratycznego pochodzenia byli wydziedziczani przez swych ojców, a nawet wydalani ze szkół w razie występnego obcięcia warkocza. W Berlinie większość harcapów padła pod nożycami dopiero w 1806 — 7 roku. Gustaw Parthey opowiada jak boleśnie od-

czuły dzieci ten ważny w ich życiu wypadek, kiedy fryzjer obciął ojcu piękną kosę.

Naogół już od 1798 r. zaczęto krótko strzyc włosy i czesać je na jeża. Niektórzy jednak układali je w kędziory, podtrzymywane za tkniętym na czubku głowy grzebieniem, zdobnym w błyskotki. W roku 1806 modne było uczesanie „au coup de vent”; z tyłu włosy krótkie, z przodu spadające aż na oczy. W 1809 r. fryzuje się je w drobne loczki „en chérubin”. wreszcie przez uczesanie „à la Titus” moda przeszła do okrągło ostrzyżonej głowy, a tego rodzaju uczesanie okazało się najpraktyczniejsze, gdyż nie wymagało dużego trudu i nie psuło się pod kapeluszem.

Elegancja współczesnych mężczyzn polegała na pozornym zaniechaniu w ubiorze. W ten sposób młodzież starała się podkreślić

swój liberalizm i niezależność w myśleniu, co wywoływało zgrozienie u starszego pokolenia, które nie chciało za nic utożsamiać genialności z niechlujstwem. Ten rozłam między młodymi a starymi zaostriżył się szczególnie z chwilą, gdy weszła w grę polityka. To, co przed wypadkami 1789 roku było traktowane z pewną pobłażliwością, jako wyraz afektacji lub prosta ekstrawagancja zapalnych głów, teraz zaczęto uważać za świadectwo przekonań wywrotowych. Długie spodnie, wysokie buty, włos gładki i niepokryty pudrem, to były nieomylnie znamiona jakobinizmu, które mogły zadecydować o losach człowieka.

Z chwilą wybuchu terroru w sierpniu r. 1792 w Paryżu, nikt nie ośmielał się ubierać starannie i czysto, aby nie ściągnąć na siebie podejrzeń, które tak łatwo mo-

gły zaprowadzić pod gilotynę. Biada kobiecie, która niebacznie jakimś wykwiniejszym szczegółem w ubraniu uraziła oczy wszechwładnych przekupek. Taka zbrodnia musiała być okupiona publiczną chłostą, co dla niektórych wrażliwszych natur kończyło się obłąkaniem, jak n. p. dla Théroigne de Méricourt.

Kiedy po wypadkach 9-go Thermidora rojalisci śmielej podnieśli głowy, reakcyjna młodzież sfery arystokratycznej, ironicznie przez swych wrogów zwana „les Muscadins” (uperfumowani piżmem), demonstracyjnie obnosiła po Paryżu swoje upudrowane głowy i czarne kołnierze przy redingotach, podczas gdy jakobini ukazywali się bez peruki i w czerwonych kołnierzach. Między temi dwoma partjami, odróżniającymi się tak wybitnie strojem, dochodziło często do krwawych starć ulicznych. Na skutek rozkazów rządu wojsko stawało w tych burdach po stronie czerwonych kołnierzy i wówczas niejednego elegancika wolnością przypłacił perukę, gdyż wszystkich „Incroyables” i „Muscadins” niemiłosiernie brano w szeregi armji. Później strzyżone głowy podlegały prześladowaniom, a kiedy po upadku Napoleona Restauracja nieufnem i podejrzliwym okiem spoglądała na każde wspomnienie Cesarstwa, wówczas lojalni urzędnicy, sędziowie i policjanci mieli doskonałą sposobność do okazania swej gorliwości, srożąc się dowoli nad „buntowniczymi guzikami”.

Za rządów Pi ta w Anglii wskutek ustawicznej wojny z Francją, podatki wzrosły do niewiarogodnej wysokości. W r. 1795 nałożono specjalną takse na używanie pudru, kto chciał pudrować sobie włosy, musiał płacić jeden funt za pozwolenie. Odtąd puder był znakiem lojalności. Opozycjoniści, z księciem Bedford na czele, umyśl-

nie obcinali sobie włosy, aby unieвозмоżliwić sobie używanie pudru.

System jakim posługiwała się policja paryska wobec mody w stroju i uczesaniu, odbił się ciekawym echem aż w Petersburgu. Kiedy Katarzyna II była bliska zgonu, damy dworu otrzymały rozkaz ubrania się po rosyjsku, a kiedy w dniu 6 listopada 1796 r. umarła, natychmiast wypuszczono na Petersburg całą sforę policjantów, którzy zrywali mężczyznom okrągłe kapelusze i darli je na kawałki, odcinali wyłogi fraków i zarzutek, nie oszczędzając nawet cudzoziemców, wchodzących w skład poselstw zagranicznych. Cesarz Paweł, kiedy jeszcze był wielkim księciem, kazał tropić w Gątczynie wszystkich posiadaczy okrągłych kapeluszy i wysokich halsztuków i sadzać pod klucz. Jako cesarz zabraniał noszenia okrągłych kapeluszy, uważając je za „kryjówki nikczemności i sromoty tajemnych jakobinów”.

Skoro okazało się, że ten zakaz bynajmniej nie odstraszył jego poddanych od „kryjówek nikczemności jakobińskiej”, cesarz wydał w 1798 r. nowy ukaz, na mocy którego wolno

było ubierać się tylko według mody z r. 1775. Z rosyjskim despotą mógł konkurować pod tym względem król neapolitański Ferdynand. Zobaczył on raz w teatrze kilkunastu panów z głowami nieupudrowanymi. Prefekt policji Caucellieri natychmiast kazał otoczyć gmach, poczem siedmiu młodzieńców z najpierwszych rodzin [wzięto do wojska, jako prostych szeregowców, za długie spodnie i fryzurę bez pudru.

W Niemczech nowa moda naturalnie została przyjęta z oburzeniem przez starych konserwatystów, a z zapałem przez młodzież, jak również urzędników króla pruskiego. W r. 1798 oznajmiono im, że długie pantalone i brak peruki nie odpowiadają godności i powadze królewskiego urzędnika.

W Kassel tamtejszy landgraf chwycił się nader drastycznego sposobu, aby zołhodzić mieszkancom nową modę. A mianowicie kazał ubierać według ostatniej mody paryskiej złoczyńców, którzy zakuci w kajdany zamiatali ulice i pchali taczki.

Papieże przeciwstawili się nowym modom z punktu widzenia moralnego. Tak n. p. Pius VI zabronił noszenia obcisłych spodni, a Pius VII potępił ryczałtem nowoczesny strój, jako bezbożny.

Walka, jaka wywiązała się między zwolennikami starych a nowych zwyczajów, przetrwała dość długo, gdyż jeszcze w 1806 r. noszono w Paryżu wszystko, co było modnem w ciągu ostatnich 70 lat, a w Estlandji widziano w 1815 r. starego pana w stroju jakby żywcem przeniesionym z Wersalu. W roku 1814 na obiedzie u ks. Hardenberga w Wiedniu Staegemann naliczył 9 głów upudrowanych, 5 zaś bez pudru. Peruka, żabot, frak haftowany miały bezsprzecznie niezastąpiony urok dla zwolenników ancien régime'u.

Spero.



Z DZIEDZINY KOSMETYKI

(ciąg dalszy)

Są skóry wyjątkowe, które nie potrzebują tłuszczu i to tylko przez pewien okres czasu. Nawet w razie łojotoku skóry, należy ją przedtem odtłuścić z patologicznie wytworzonego nadmiaru łoju, a wtedy dopiero użyć delikatnego kremu, ewentualnie tłuszczu.

Przez odtłuszczanie powstają szczeliny, skóra się zbyt szybko wysusza, pęka i dlatego delikatny krem wygładzi i wydelikatni nawet taką łojotokową skórę.

Są typy skóry cienkie, delikatne, suche, które poprostu nie mogą się obejść bez kremu dla ochronie-

nia się przed wszelkimi fizycznymi zjawiskami.

Skóry typu pośredniego muszą też kremu używać, ale w mniejszej ilości i rzadziej, dla wydelikatnienia i wybielenia, a często też, jako środek ochronny.

Wreszcie do typu skór grubych,

łojotokowych, należy również krem stosować dla wyżej wymienionych powodów.

Wśród powodów środków wszelkiego rodzaju, trudno jest orientować się nawet dla specjalistów, tem bardziej laików w wyborze kremu, zwłaszcza, jeżeli chodzi o stałe zastosowanie.

Często krem nieznanego pochodzenia, spreparowany z nieznanych składników, może zepsuć skórę, lub na dłuższy nawet czas twarz zeszpecić.

By ułatwić orientację pacjentkom moim, postanowiłam sama oddać do użytku krem, dobierając składniki pewne teoretycznie, a praktycznie przez długoletnie doświadczenia wypróbowane.

Głównym czynnikiem, działającym w tym kremie, jest cetaceum, czyli olbrót, wydobywany z mózgu wieloryba, składnikami i punktem topliwości zbliżony do łożu ludzkiego. Krem mój nosi markę ochronną „żmiję.”

Przy zestawieniu „Mego kremu” miałam sposobność przegłądnąć i wyeksperymentować wiele gatunków kremów zagranicznych i krajowych. Po tem doświadczeniu mogę panie zapewnić, że kremy i mydła wyrobu fabryk krajowych są równie dobre, a nawet często przewyższają zagraniczne.

Jeżeli się nie ma możliwości dostania dobrego kremu, to lepiej jest używać na wsi śmietankę, a w mieście olejki wyżej wymienione.

Do środków kosmetycznych należy również benzyna, także uboczny produkt naftowy. Dobrze oczyszczonej benzyny używać można do zmywania zbyt tłustej skóry. Gliceryna, która nie jest tłuszczem, tylko alkoholem trójwartościowym, jest dobrym środkiem przy pierzchnięciu rąk, doskonale rozmiękcza naskórek, ponieważ jest lepka, trzeba ją używać w alkoholu lub zmyć wodą.

Spirytus rozpuszcza łój w skórze, oczyszcza z wydzielin skórę, działa bakterjobjęco. Spiryтусz kwasem salicylowym nadaje się doskonale do oczyszczenia skóry, zwłaszcza przy łojotokach.

Oceć owocowy używać można do spłókiwania włosów. W lekkim roztworze działa odświeżająco na skórę.



Sok cytrynowy jest jednym z najzdrowszych kwasów, uśmierza swędzenie skóry, doskonale zmywa atrament i barwki, działa wybielająco na skórę — nadaje się do pielęgnacji rąk.

Pasty miękkie, są to tak zwane szminki, różnych kolorów, różę i bielidła, używane dawniej tylko przez artystów na scenach, do podkreślenia i uwydatnienia rysów charakterystyki — obecnie są bardzo rozpowszechnione.

Czy używanie sztuki stosowanej istotnie tak bardzo szkodzi cerze? — częste pytanie, zadawane przez pacjentki.

Faktem jest, że róż zatyka porę, skóra nie oddycha, więdną — cera po pewnym czasie staje się zniszczona i już bez sztuki taka osoba pokazać się nie może.

Osobiście, jestem gorącą przeciwniczką malowania się. Moda ta, jak zwykle jest przemijająca. Przed kilkanaście jeszcze miesiącami we Francji prawie nie było kobiet nie malujących się. Obecnie zaś nowy prąd przenika, na skutek czego sfery bardziej inteligentne zaczynają się malować bardziej dyskretnie. Po dłuższym używaniu szminek skóra się niszczy i raz zniszczona niczem nie da się poprawić.

Pozatem sprzeciwiam się malowaniu ze względów estetycznych. Gdyby malowanie było robione na-

prawdę artystycznie i dawało złudzenie natury, istotnie miałyby pewną wartość, ale przy obecnym stanie „sztuki malarskiej” młodziutkie i starzejące się kobiety warstwami nakładają barwki, nie przystosowując ich do koloru skóry, wyglądają prawdziwie humorystycznie.

Trudno walczyć z modą, obecnie tak przyjętą — tolerowałabym jedynie lekkie podróŜowanie na wieczór — natomiast stałe i regularne, nadmierne używanie sztuki malarskiej uważam za niehigieniczne, nieestetyczne i niedopuszczalne.

Jestem zwolenniczką racjonalnego, angielskiego systemu, który polega przede wszystkim na pielęgnowaniu zdrowia i stosowaniu racjonalnego trybu życia, czystości, sportów, gimnastyki.

Z codziennych kosmetycznych zabiegów uznaję jedynie jako celowe, masaż specjalny higieniczny twarzy oraz środki oczyszczające skórę, np. parówka, stosowana ściśle wedle poleceń lekarskich.

Każda kobieta może nauczyć się masażu twarzy po 3 — 4 lekcjach, co umożliwi jej stosowanie systematyczne tego zabiegu.

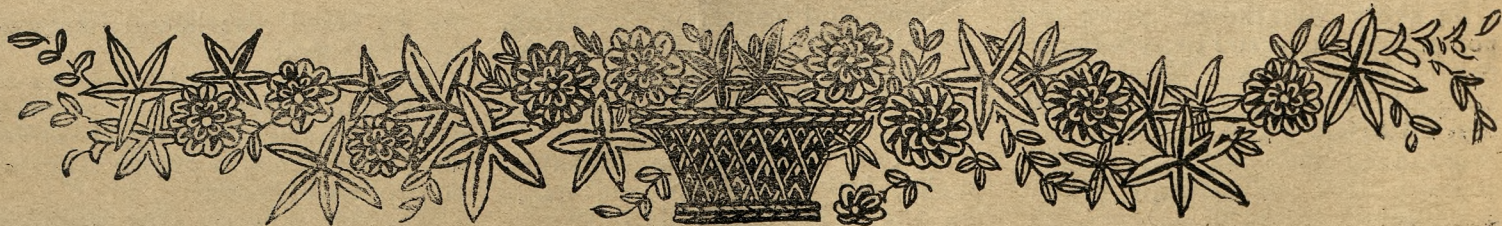
Kiedy stosować parówki, jakimi środkami i ile minut, jaki rodzaj masażu — rozstrzygnąć może jedynie specjalista.

Przestrzegam przed salonami kosmetycznymi, które więcej szkody, niż korzyści dają. We wszystkich salonach kosmetycznych, prowadzonych nie przez lekarzy, istnieje stały szablon: „panienki” robią masaż, nie mając pojęcia ani o anatomji, ani też o skórze. Jednakowe ruchy są stosowane dla każdej twarzy, a czas masażu zależy od czasu pacjentki lub „panienki.”

Masaż umiejętnie wykonany ręką ludzką, uważam za dobroczynny dla świata kobiecego, natomiast jestem przeciwna masażowi elektrycznemu. Masaż elektryczny, zwłaszcza stosowany stale, niszczy tkankę podskórną, która zatracą elastyczność, tworzy zmarszczki nie raz na całe życie nie do poprawienia. Masując umiejętnie ręką, mamy po ztem możliwość indywidualizować ruchy — skóry tak są różne, podczas, gdy masaż elektryczny musi być szablonowy, a więc już przez to samo nieracjonalny.

(c. d. n.)

Dr. med. J. Świtalska



RÓŻNE SPOSOBY PRANIA

Pierwszym warunkiem nadania bieliźnie śnieżnej białości jest staranne dopranie i nie trzymanie jej długo brudnej. Chcąc ją mieć zawsze piękną — trzeba prać często — co dwa tygodnie, a w ostateczności co cztery najrzadziej. Przechowywać trzeba bieliznę w miejscu suchym i przewiewnym — uważać, żeby wilgotna nie była wkładana do kosza, bo zbutwieje — a takie plamy niczem się nie wypiorą. W żadnym razie nie można trzymać brudnej bielizny w pokojach sypialnych lub w kuchni — ciepło bowiem przyspiesza rozwój bakterij, niedostrzegalnych dla oka, a bardzo szkodliwych dla zdrowia, a brud wgryza się w tkanki tak silnie, że trudno go z nich wydościć. Bielizna z chorych powinna być zaraz po zdjęciu namoczona w wodzie z lizolem, a nazajutrz wyprana i wygotowana z dodatkiem mydła nafcianego, koniecznie osobno.

Przed ogólnem praniem trzeba bieliznę przejrzeć, cienką i mniej brudną poreperować i pocerować — w przeddzień prania zaś policzyć i zapisać na dwóch kartkach — jedną zatrzymać dla kontroli — drugą oddać pracze, aby wiedząc co ma, dopilnowała oddania bielizny po dług rachunku, wtedy nie może być żadnych nieporozumień. Licząc bieliznę, przebiera ją się — każdy gatunek rozwiązuje osobno, tak aby praczka, rozpoczynając robotę, łatwo zorientować się mogła, która najczystsza, od takiej bowiem zawsze zaczyna się pranie, tym sposobem ułatwiamy jej znacznie robotę.

Wskutek niskiego poziomu inteligencji i braku zawodowego wykształcenia, trudno przyswajają się u nas wszelkie inowacje, to też pomimo, że już w roku 1853 maszyna do prania, znacznie odtąd udoskonalona, obchodziła swój stu-letni jubileusz — i za granicą ułatwia pranie i oszczędza dużo czasu, u nas przeważnie pierze się „po dawnemu“, drąc cienką bieliznę tarciami o dno balji lub niszcząc ją chlorkiem.

Trzeba dużej dozy cierpliwości pani domu, aby konserwatywną do niemożliwości służbę naszą oduczyć starych zwyczajów i przymusić do użytkowania i ocenienia wynalazków, jakie nam postęp na każdej drodze wskazuje. Najpierwszym warunkiem czystego, dobrego prania jest obfitość miękkiej wody rzecznej, deszczowej lub w zimie ze śniegu stopionego. W twardej, źródlanej, doskonałej do picia wodzie — mydło się warzy i nie roz-

puszcza, tracąc przez to właściwości wyciągania brudu. W braku miękkiej wody musimy dopomóc sobie, dodaniem do twardej, sody, boraksu lub ałunu w proszku, biorąc najwyżej 8 deka na 100 litrów wody.

Mylnie postępują ci, którzy sypią nadmierną ilość sody — nie tylko, że nie rozpuszcza ona brudu, ale zmienia kolor bielizny — perkalkowa żółknie, a inna nabiera brudno szarej barwy. Tylko boraks bieli bardzo bieliznę, ale jest za kosztowny.

Tam, gdzie pali się jeszcze drzewem — i o dobry popiół jest łatwo, najlepiej używać ługu, który nie osłabiając tkanek przywraca bieliźnie czystość i białość. Drugim ważnym czynnikiem przy praniu jest dobroć mydła. Im twardsze — tem lepsze i oszczędniejsze — bo go mniej wychodzi. Dobrze jest mieć zapas mydła, które pokrajane w kawałki, trzyma się w suchym miejscu, takiego mydła wyjść powinno 50—60 dkgr. na 100 sztuk różnej wielkości bielizny. Dawniej gotowano mydło w domu, dziś kiedy fabryczne, o wiele przewyższające w dobroci domowe, tak jest tanie, że kilo kosztuje mniej, jak nabycie do jego wyrobu w domu, potrzebnych materiałów, przemysł ten upadł zupełnie i tylko rzadko gdzie w wyjątkowych zresztą warunkach, spotykamy się z gotowaniem mydła. Do prania używa się zwykle jeszcze różnych, licznie dziś wyrabianych chemicznie proszków, najlepszym z nich jest wszędzie reklamowany „Persil“. O ile bielizna jest bardzo brudna, dobrze jest namoczyć ją w wilgę prania w zaledwie letniej miękkiej wodzie, z dodaniem jednej łyżki francuskiej terpentyny i dwóch łyżek salmiaku. Przy często zmienianej a temsamem czystszej bieliźnie zamoczenie uważam za zbyteczne. Ogólnie używany przez służbę nasze i to w nadmiernych ilościach, chlerek jest tak silnie gryzącym środkiem, że bezwzględnie jest szkodliwy i w krótkim czasie zjada bieliznę.

Często już po jednorazowym, nieumiejętnym zastosowaniu, robią się w niej małe, okrągłe dziurki lub płótno jest tak spalone, że sypie się w rękach. Jedynie w wyjątkowych, rzadkich wypadkach można użyć chlorku — przyrządzając go umiejętnie pod dozorem samej pani lub jej zastępczyni w sposób

następujący: $\frac{1}{4}$ kilo chlorku zaparzyć 4 litrami gotującej wody — zagotować, nakryć, niech postoi z godzinę — przecedzić przez gęsty gąsienek, żeby nic osadu nie zostało. Wylać płyn na balję, dodając 4-ry wiadra zimnej wody i zanurzyć żółkłą bieliznę na 2 godziny. Wyjętą z chlorku włożyć na godzinę w zimną wodę a następnie dobrze wypłukać.

(c. d. n.)

J. S.

RACHUNKOWOŚĆ W GOSPODARSTWIE

Że jesteśmy narodem biednym, na dorobku, wszyscy to wiemy, wszyscy odczuwamy. Czekamy wciąż lepszych czasów, a one, jak wszystko dobre, tymczasem są tylko w marzeniach naszych. Rzeczywistość, twarda rzeczywistość daje nam tylko codzienne rozczarowania, codzienne kłopoty o wzięcie „końców z końcami“, mówiąc potocznie. Konieczność zastosowania wydatków do szczupłych, a któż ma za wiele, środków wytwarza potrzebę zrobienia budżetu, to jest zrobienia pewnego preliminarza wydatków i konieczność nieugiętego stosowania się do tego preliminarza.

Zrobiłam wiosną parę takich preliminarzy, zastosowanych do pewnych sum dochodu, niech mi Czytelniczki „Bluszczu“ zechcą wierzyć, że jest to praca ciężka i żmudna — i oto w odpowiedzi na nie spotkałam zdarzenie... Biuralistki, zarabiające po 150 złotych miesięcznie, oświadczyły mi, że z takiej gaży żyć nie można, oficerowa mająca na życie i ubranie 165 złotych, napisała list pełen gorczy, że z tą suną sobie mimo moich obliczeń i nadal rady dać nie może. Tymczasem biuralistkom nikt zarobków nie podwyższył, bo czasy są obecnie ciężkie i o gotówkę trudniej niż pół roku temu — a jednak, chociaż walcząc ze strasznymi brakami — żyją i dotąd, a oficerowa, nie wyrzekłszy się dotąd służącej — co jej gorąco i jako warunek sine qua non polecałam, klepie codzienną biedę i w duchu narzeka na mnie, że nie potrafiłam rozwiązać takiego zadania, jakie dla mnie ułożyć zechciała, bo jak w budżecie 165 złotowym, zmieścić taką pozycję, jak służąca, której pensja wynosi nawet na prowincji od 30 do 50 złotych i która zjada na ilość, zawsze więcej niż oboje państwo razem wzięci.

Otóż mimo ciągłych prośb telefonicznych i listownych nie chcę nadal układać budżetów, natomiast będę pisała tylko o rachun-



kowości w gospodarstwie domowym, rachunkowości systematycznej, która umożliwi po roku ułożenie budżetu, zastosowanego do środków i potrzeb każdej rodziny. W normalnych czasach przedwojennych, stosunek jednej kategorii wydatków do innych, na przykład komornego do życia, można było zgóry określić. Dzisiaj panuje w tych stosunkach, jak zresztą we wszystkich prawie innych, taki chaos i zamieszanie, że chyba każdy człowiek sam sobie zdać sprawę może z tego, czego, ile i na co ile mu potrzeba.

Bo jeżeli ktoś, zarabiający 200 złotych, musi sto zapłacić za pokój jako sublokator — mój budżet mówi, że należy mieszkać po dwoje i troje i razem, lecz ten ktoś ma wstręt do współmieszkania z innymi, bo przywykł do oddzielnego pokoju — to nic na to nie pomoże, i będzie stale niedojadał, chodził w wyświechtanym ubraniu i narzekał, że nawet na galerję w Operze lub Narodowym go nie stać. Lub jeśli panienka, zarabiająca także same 200 złotych chce być ubrana w najmodniejszy kapelusz co sezon i mieć chociaż trzy wieczorowe suknie co zimę — niech się nie skarży, że musi mieszkać kątem u starej, gdeiliwej ciotki, jadać co drugi dzień obiad, bo na kino, kawiarnię i bal — pieniądze przecież być muszą, a jedwabne pończochy strasznie kosztują i takie niemocne, że ich nastarczyć nie można. I gdzie tu w takich warunkach mówić o jakimś normalnym budżecie, dającym się do wszystkich potrzeb i wymagań dopasować.

Wybrałam oczywiście może nieco dziwola, ale takich dziwulgów jest dzisiaj tysiące.

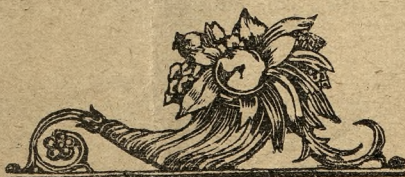
W normalnych rodzinach i ich wydatkach są też olbrzymie odchylenia od normy, na przykład wychowanie dzieci: opłaty szkolne wygórowane, wszelkie pomoce szkolne niemożliwie drogie, pomoc w naukach w postaci dodatkowych lekcji muzyki, języki i t.p. nawet prostych korepetycji dla średnio zamożnych ludzi wprost niedostępne. W innym domu znów słabe zdrowie jednego lub kilku członków rodziny wymagające pomocy lekarskiej lub jakich specjalnych zabiegów, jest w stanie zrujnować całą równowagę budżetową, wszak wiemy wszyscy, że lekarze są jedynym odłamek pracującej inteligencji, których praca ustawowo opłaca się więcej niż sownie — a właściwie tak wysoko, że z niej korzystać przeciętny pracownik nie jest w stanie. Są wprawdzie kasy chorych — a tak, są — ale o nich

niestety dałoby się dużo powiedzieć i niejeden błąd poważny podkreślić.

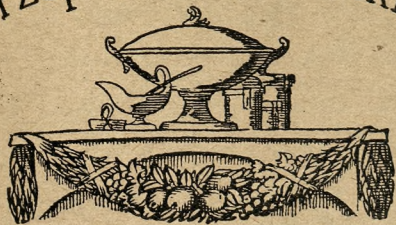
Otóż należy sobie podzielić książkę rachunkową na pewne rubryki, mianowicie: 1) komorne, 2) służba, opranie, światło opał, telefon i inne dla udogodnienia życia służące urządzeniom domowym 3) życie właściwe z rubrykami specjalnymi na większe zapasy i na przyjęcie sezonowe, 4) wychowanie dzieci, o ile się 5) ubranie 6) pomoc lekarska i wydatki osobiste pana i pani, oddzielnie każdego, 7) zaspokojenie potrzeb kulturalnych 8) oszczędności, 9) nieprzewidziane. Widzę ironiczny uśmiech mniej zamożonej czytelniczki, „oszczędność“, która o nich mówić może, kiedy i tak dwudziestego zapożyczam się, gdzie mogę. Odpowiem na to twardo: w najskromniejszym budżecie oszczędności być muszą, bo one dadzą możliwość stawiania oporu niespodziankom, one dadzą możliwość koniecznego odpoczynku, przeprowadzenia kuracji i t.p. Czem mniejszy budżet, tem oszczędności bardziej obowiązują, jeśli nie mamy dosyć siły woli, aby odłożyć kilka złotych do oddzielnej koperty, zaprowadźmy taką skarbonkę stalową, jaką Towarzystwo „Oszczędności i Kredytu Inteligencji pracującej“, ul. Traugutta 2 wydaje swoim członkom, i której sami, bez klucza bankowego nie możemy otworzyć, wrzucamy tam te grosze, co zaoszczędzimy na kursie tramwaju, na ciastkach, których sobie odmówimy na przenoszonym drugi sezon kapeluszu, — i ze zdziwieniem skonstatujemy, że z tego urosła pokaźna sumka, — nie czujemy, ile wydajemy na rzeczy zbędne, gdy na niezbędne ciągle nam brak, po miesięcznym porachowaniu poszczególnych rubryk, od razu rzuci się nam w oczy, jakie wydatki są dominujące i będziemy się mogli zastanowić nad tem, które zmniejszyć by należało i wynaleść po temu drogi. Paniom mało zamożnym, zawsze przypominam, że skreślenie wydatków na służącą, jest jednym z najradykałniejszych sposobów do ustalenia równowagi budżetowej, nasze siostry amerykańskie i eleganckie paryżanki, dawno tę oszczędność stosują, a nie straciły nic na tem ani duchowo ani fizycznie.

Kobieta inteligentna potrafi wszelkie czynności gospodarcze wykonać dużo prędzej od zwykłego kocmoluha, — do pomocy w robotach cięższych wystarczy przychodnia pomocnica raz na tydzień na kilka godzin przychodząca, wysoka pensja i zaspokojenie olbrzymiego apetytu wewnętrznego wroga, jakim jest przeciętna służąca w niezamownym domu, zostaną zaoszczędzone, już nie mówiąc o odprężaniu nerwów, szarpanych w ciągłym obcowaniu z obcą osobą w domu. Kiedy przy końcu roku, zrobimy generalny rachunek i przegląd naszych wydatków, mamy gotowy materiał do budżetu na rok przyszły, musi się on zmieścić w granicach naszych dochodów, musi i najlepszy dowód że może, bośmy ten ubiegły rok przeżyli. Teraz trzeba tylko starać się możliwie odciążyć pozycję za wysokie, aby nieco podwyższyć te inne, po macoszemu traktowane, na przykład może nieco mniej jeść przysmaków, a kupić nieco więcej książek, lub zamiast do restauracji chodzić częściej do teatru, — mówię tu oczywiście o budżetach większych. Panie ze wsi spojrzą pogardliwie na moje zrządzenie i pomyślą — „mnie to się przecież nie tyczy“. Oczywiście, nie płacąc komornego, nie kupując opału, mając produkty z własnego gospodarstwa, nie czują tak dotkliwie obecnej drożyzny i z niej wypływających, anormalnych warunków życia. Lecz żeby zechciały zaprowadzić książkę rachunkową zupełnie inną, mianowicie wykazującą ilości zużywanych produktów, robocizny dodatkowej, w postaci najemnic branych do szorowania, do prania, do gracowania i t. p., drzewa zużywanego na opał domu i kuchni i temu podobnych dogodności wiejskich, — przy tych ilościach postawiły ceny rynkowe tych rzeczy, przekonałyby się, że utrzymanie ich domu pochłania olbrzymie sumy. Daje też i olbrzymie ilości wygod i komfortu, o których my, wyrzucone na zawsze z gniazd naszych kresówek, tylko dzisiaj jasne pojęcia mamy, gdy je utraciliśmy. Jeśli jednak taką rachunkowość radzę, to dlatego, aby mogły uprzytomnić sobie, jak wiele mają, i żeby nie narzekały zbyt, że majątki nie dają dochodów, — przecież dostatanie utrzymanie domu to już samo stanowi pokaźny dochód, i na takie utrzymanie w mieście idzie nieraz praca nie tylko pana, lecz i pani domu zbiorowo. „Tak odpowiedzą mi panie, ale o gotówkę trudno“. A my mieszkańcy miast czy ją widzimy kiedy — owszem, widzimy, lecz zawsze w przelocie do rąk innych.

Pani Elżbieta.



Przepisy gospodarskie



KUROPATWY.

Śliczny artykuł o kuropatwie mojej szanownej koleżanki pani I. S. zachęcił mnie do przypomnienia dawnych czasów, a wraz z tem do podania kilku sposobów przyrządzania tej wybornej zwierzyny.

KUROPATWY PO MYŚLIWSKU.

Główkę czerwonej kapusty uszatkować, wrzucić na wrzącą wodę osoloną, natychmiast przelać na durszlak, posypać łyżeczką cukru i skropić dobrym octem, aby nabrała koloru. W rondlu rozpuścić łyżkę masła, na to włożyć kapustę, podlać dobrym kieliszkiem węgierskiego wina i dusić pod pokrywą, aż zmięknie, włożyć parę ziarn pieprzu, ziela, dwa goździki i pół listka. Trzy oczyszczone kuropatwy osolić, zawinąć całe w duże plastry słoniny i upiec lub udusić, w rondlu. Obracać młode sztuki, które łatwo rozpoznać po żółtych nóżkach. Gdy już zupełnie miękkie, wziąć ładną nelsonkę, położyć w nią rząd kapusty, przekrajane na połówki kuropatwy, znowu kapustę, na wierzch plastry słoninki, w których się one dusiły, wlać drugi kieliszek wina, osypać bułeczką, ostrym serem i wstawić na pół godziny pod blachę. Podać w ten samem naczyniu.

KUROPATWY PIECZONE Z SARDELOWEM MASŁEM.

Młode kuropatwy oczyszczone osolić wewnątrz i zewnątrz, zawinąć każdą w duży, cienki plaster słoniny i upiec pod blachą lub na rożnie, nie wysuszając nadto. Przygotować na trzy kuropatwy sześć ładnych plasterków bułki, podłużnych rozmiaru pół kuropatwy. Utłuc dwa sardele lub pół najlepszego śledzia ulika z 10 deka śmietankowego masła, uformować wałeczki i dobrze zastudzić, aby stwardniało. Gdy kuropatwy wyjmemy z brytwanny ułożyć na pozostałym tłuszczu grzanki i zrumienić w nim z obu stron, kuropatwę rozrąbać na połówki. Na półmisku ułożyć grzanki, na nie kuropatwy, ostrym nożem przeciąć do kości mięso na piersiach, włożyć w to plaster sardelowego masła, przykryć zrumienioną słoninką

i natychmiast podawać. Należy całą tę czynność wykonać nadzwyczaj prędko, aby z jednej strony — płatki nie ostygły, — z drugiej masło sardelowe się nie rozpuściło.

PASZTET Z KUROPATW.

Zrobić z kila mąki jak zwykle francuskie, lub nawet zwykłe kruche ciasto, rozdzielić na dwie połowy i postawić na chłodzie na godzin kilka. Kilo wątróbki cielecej udusić z pół kilo cebuli i pół kilo młodej słoniny, pieprzem, listkiem i ziele, przepuścić przez maszynkę, dodać kieliszek białego wina, sok z cytryny, nieco utartej skórki i pół gałki muszkatołowej, także utartej. Cztery kuropatwy, (mogą być starki) udusić w rondlu ze słoniną, podlewać rosół lub wodą, powinny się tak udusić, żeby odstały od kości. Farsz ostudzić, kuropatwy, po zdjęciu z głównych kości też. Metalowy półmisek posypany mąką przykryć połową rozwałkowanego ciasta, na to ułożyć naprzemian farsz i kuropatwy, formując kopułę. Jeżeli są w domu prawdziwe grzyby, lub pieczarki, przysmażyć ich talerzyk w maśle i układać pomiędzy kostkami kuropatw. Drugą połowę ciasta rozwałkować przykryć nią półmisek, — jeśli ciasto listkowe, t. j. rąbane lub francuskie, połączenie obu warstw okrajać tylko ostrym nożem, gdyż zaciśnięte nie rosłoby. Ciasto kruche można zaciśnąć i uformować ząbki. Z obrzynków uformować różę i umocować na górze. Posmarować żółtkiem, (we francuskim cieście nie dotykając brzegów) i wstawić w gorący piec na pół godziny. Kostki z kuropatw wygotować z włoszczyzną do ilości najwyższej szklanki płynu, osolić lekko. Przed podaniem ostrym nożem podjąć ciasto na samym wierzchu, pod różą, wlać ten rosół, zakryć ciasto i gorące podawać. Kto chce mieć oddzielny sos do tego pasztetu, niech smaku z kostek nie wlewa do środka, lecz użyje do rumianego sosu, zaprawionego cytryną i poda ten sos oddzielnie w sosjerce.

KOTLETY POŻARSKIE Z KUROPATW.

Trzy kuropatwy młode, bardzo mięsiste, oczyścić. Ostrym nożem



wykrajać z obu stron piersi pozostawiając przy nich kostkę od skrzydelka. Wybić je jak kotlety i ułożyć na desce.

Oskrobać jak najstaranniej mięso z nóżek, grzbietu, utłuc w moździerzu z dwoma pieczarkami, kawałkiem słoniny od szynki i wymoczoną w mleku bułeczką, osolić, dodać jedno jajko i ucierać, aż się zrobi zupełnie gładka masa. Kotlety lekko osolić, posmarować tą masą z obu stron, utarzać w bułeczce i smażyć na bardzo obfitem maśle do lekkiego zrumienienia, przykryć talerzem i wstawić na kwadrans pod blachę, aby doszły wewnątrz. Podawać z buraczkami lub brukselką, duszoną w maśle. Jest to nadzwyczaj wykwintny w smaku sposób przyrządzania kuropatw.

CHAUD FROID Z KUROPATW.

Sześć kuropatw udusić w maśle lub słoninie, powinny zupełnie odstawać od kości. Mięso zdjąć z kości, nie naruszając kości piersiowych, które przechować, resztę kości gotować na smak z kruchą kostką wołową i kompletną włoszczyzną. Do mięsa z kuropatw dodać trzy żółtka z jaj na twardo ugotowanych i funt bardzo tłustej gotowanej szynki lub boczku, jeśli są parę pieczarek duszonych w maśle, wszystko to przepuścić dwa razy przez maszynkę, poczem ucierać na misce, dodając nieco pieprzu tłuczonego, odrobinę gałki muszkatołowej, sok z jednej cytryny i nieco aromatycznego wina węgierskiego lub madery. Gdy masa zupełnie gładka ułożyć ją na piersiowe kości tak, aby wyglądała jak całe kuropatwy bez nóżek. Na każdej na kawałku położyć z obu stron po plasterku trufli. Smak z kostek, sklarowany białkiem, gdyby był mętny, zniszczyć, — jeśli jest blady, zakolorować paru kropkami karmelu, powinien być złocisty. Na każdą szklankę smaku rozpuścić w nim trzy listki białej żelatyny. Stygłącą już galaretą polewać kuropatwy po raz kilka, aż się uformuje ładna na nich poroka. Spływająca galaretą zebrać i ostudzić oddzielnie. Na zimnym półmisku ułożyć w środku „chaud froid“, otoczyć wkoło zieloną sałatą, na to pokładać jaja na twardo, pokrajane w talarki, gdzieś tam plaster trufli, osypać wszystko posiekaną galaretą i podać do tego oddzielnie sos prowencjał, wkładając w jedną lub dwie pokrajane w drobnionchne paski trufle. Trufle można dostać gotowe w małych blaszankach. Taka blaszanka z czterech trufli zupełnie do tej ilości wystarczy.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Aby klej mocno trzymał, trzeba przedmioty, przeznaczone do sklejenia, dobrze ogrzać nad ogniem lub gorącą blachą, pociągnąć klejem — szczelnie przyłożyć części i o ile się da, związać mocno szpategiem.

* * *

Do lepienia okładek do książek, rozpuścić na słabym ogniu 10 i pół dkg. kleju w 7 deka wody. Dodać 10 i pół deka skrobanego mydła, po zupełnym rozpuszczeniu wysypać 52 i pół gr. sproszkowanego alunu i razem wszystko dobrze wymieszać.

Korespondencje działu praktycznego

Ciekawej w Kaliszu

Spirytus, krem i mydła ogórkowe są gotowe, doskonałe, wyrobu Karpńskiego w Warszawie. W domu robić nie radzę, bo to się mało opłaca, a nigdy tak dobrze nie będzie zrobione.

I. A. Płock

Środkiem, usuwającym włosy, jest Depilatorjum Hl. Żuka. — Jest to proszek, który trzeba rozmieszać starannie z odrobiną wody, by masa była dość gęsta. Masą tą posmarować miejsca, o które chodzi i po kilku minutach nieostрым nożykiem zdjąć masę, a włosy razem z nią się usuną.

„Wanda Irena“

Na usunięcie brodawki skutecznie działa elektroliza i ją poleciłabym Pani.

Co do porów i czerwonych żyłek, pomoże Pani masaż specjalny. Jeżeli nie ma Pani na miejscu wykwalifikowanej masażystki, może Pani sama ten masaż stosować po wzięciu paru lekcji.

Włosy musiałyby być zbadane, by można było dać radę indywidualną — ogólne, wyczerpujące wskazówki znajdzie Pani w moim artykule o włosach w „Bluszczu“.

Marija G. Jarocin

Ręce należy moczyć na noc w gorącej wodzie. Przytem niech Pani spróbuje stosować nacieranie kremem „Izolda“.

Zofja R.

Narazie niema środka na usucie włosów bez nieprzyjemnego zapachu siarkowodoru. Depilatorjum Hl. Żuka może ma go najmniej.

Stanisława J. Drzewica

Na razie niech Pani, po umyciu letnią wodą, wyciera twarz olejem migdałowym i lekko zapudrowuje czystą mączką ryżową. Sądząc z opisu, cera Pani wymaga poważnego leczenia; radzę Pani udać się do specjalisty. Po zbadaniu można będzie się zorientować, czy to jest łojotok, czy tak silne zadrażnienie skóry.

Hance z Krakowa

Na piegi radykalnego środka niema, a reklamowane, jak słusznie Pani zauważyła, nie pomagają — w najlepszym razie, bo często niepowetowane szkody przynoszą.

Recepta:

Camph. 1.5, Mercus. praecep. albi 2.0, Bismut. subiectr 1.0, Lanolini 5.5.

Wcierać na noc, po umyciu letnią wodą, przez 6 tyg., aż ustąpią piegi zupełnie, wtedy tylko używać w razie potrzeby.

Co do pielęgnacji włosów, wyczerpujące wskazówki znajdzie Pani w „Bluszczu“ w moim artykule o włosach — by się nie powtarzać, do niego Panią odsyłam.

Dr. med. J. Świtalska.

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Opis sukien i robót do Nr. 42

799. Suknia z ciemnofioletkowego aksamitu, przybrana szenszylami.

800. Suknia z wełny brązowej. Przód z aksamitu

801. Suknia z wełny gładkiej i w kratę, przybrana guziczkami.

802. Aksamitny żakiecik dla dziewczynki od lat 6 do 8.

803. Suknia z granatowego crêpe marocain. Kamizelka z białego crêpe de chine'u.

804. Suknia z tafty ciemnozielonej, przybrana białym rypsem.

805. Palto z sukna koloru kreciego, przybrane futrem.

806. Suknia z lekkiej wełny brązowej, przybrana piaskowem suknem i guziczkami.

807. Płaszcz z peleryną dla dziewczynki od lat 8 do 12.

808. Palto z popielatego zamszu, przybrane futrem.

809. Aksamitny paltocik dla dziewczynki od lat 4 do 6.

810. Paltocik z trykotu przerabianego w kratę, obłożony gładkiem suknem dla dziewczynki od lat 4 do 6.

811. Sukienka z wełny kraciastej dla dziewczynki od lat 5 do 7.

812. Bluzka z desenlowego gładkiego materiału.

813. Bluzka z crêpe de chine'u beige, przybrana мережką i guziczkami.

814. Bluzka z woalu rezedowego, przybrana żabotem i guziczkami.

815. Wzór na poduszkę. Haft richelieu. Wielkość 28×28 ctm.

816. Serwetka. Haft richelieu'u. Wielkość 34×34 ctm.

817. Wzór na serwetkę i narożniki, wykonane na siatce, lub krzyżykami.

Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

P. MARJI K. Najlepszym środkiem do rąk jest „PATE DE PRELATS“. Radzę Pani już teraz zacząć używać, stosując jednocześnie wybielający pyłek „JUVENIA CANDIDA“, a przez całą jesień i zimę utrzymać Pani rączki w należytnym stanie. Będą idealnie miękkie, gładkie i białe.

ZOFJI M. w KIELCACH. Do ust zamiast pomadki radzę stosować płyn „ROSEIN“, który na ustach jest zupełnie niewidoczny, nie ściera się i nie płami. Brwi trwale przyciemnia „EXCELSIOR“ do brwi. Idealnie białe ząbki będzie Pani miała, używając proszku wybielającego „ALBOL“, który wybiela nawet zczerniałe i zaniedbane zęby.

GRYMAŚNEJ. Aby zapobiedz łuszczeniu się skóry i utrzymać czystą, świeżą cerę, radzę umyć się „OTRĄBKAMI ABARIDOWEMI“ i na noc wcierać troszkę „KREMU ABARIDOWEGO“, a następnie przypudrować „PUDREM ABARID“, który jest zupełnie nieszkodliwy, gdyż nie zawiera metali i minerałów, a składa się tylko z roślinnych części, między innymi w skład jego wchodzi mielone czastki cebulek lilii białej, które, jak wiadomo, były znane jeszcze w czasach starożytnych jako dodatnio działające na cerę.

M-me Ercedès,